



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 290

49 388

POLSKA POD RZĄDAMI OKUPACJI
ZESZYT PIERWSZY

- I. Polacy i Niemcy [1915—1917]
- II. Zagadnienie jedności narodowej [1914—1917]
- III. Prawotwórczość okupacyjna.

KRAKÓW 1917

Drukowano jako manuskrypt w ograniczonej ilości egzemplarzy.

19 17

1

„Polska pod rządami okupacji“ — taki tytuł kiedyś w księdze naszej historii nosić będzie okres, w którym lata przyszłe, a prawdopodobnie i potomne na ziemi naszej pokolenia, zgodnie upatrywać będą źródło i podwalinę swej dziejowej doli, założenie i punkt wyjścia tego wszystkiego, co w przyszłości wykwitnie znamieniem wielkości, ale również i tego, co na życiu narodu mścić się może skazą niemocy.

Ogrom odpowiedzialności łoży się na barki nasze, gdy pomyślimy, iż my — pokolenie dzisiejsze — stanowimy właśnie żywe w tej księdze głoski: że w czynach naszej krwi i w płodach naszego ducha potomni odczytywać będą wyrok z góry na siebie wydany, że odczytają w nich dziejową decyzję, która w znacznym stopniu o ich losie przesądzi.

Któż nie zadrży na myśl, że w czynach naszych przeglądać się będzie przyszłość polska tak samo, jak stulecie minione przeglądało się w epoce napoleońskiej?

Z poczucia tej wielkiej odpowiedzialności, na każdym z nas ciężącej, zrodziła się myśl niniejszego wydawnictwa, którego ambicją jest w uczestnikach obecnego okresu obudzić ducha współtwórców, świadomie stających do pracy nad budowaniem dziejów własnej Ojczyzny.

Poczęte z intencji oporu przeciwko wszelkiej przemocy, depczącej indywidualność narodu bądź w jego zespole zbiorowym, bądź w jego oddzielnych komórkach, wydawnictwo to podejmują ludzie, którzy prawo swe do mówienia bezwzględnej prawdy swoim i obcym zadokumentowali już wówczas, gdy najbezwzględniejszej niewoli wypowiedzieli najbezwzględniejszą walkę.

Wszelako ustąpienie najazdu wschodniego z granic ojczystych, będąc dla ludzi tych niezbędnym warunkiem lepszej przyszłości kraju, nie było samo przez się jej treścią. Wypisawszy na sztandarze bojowym nieprzedawnione hasło niepodległości, szli pod nim w niezłomnej wierze, iż prawdziwie wolny bywa ten tylko, kto krwią i wolą własną wyzwolony. Akt 5 Listopada stał się dla nich świadectwem, że wysiłki najczynniejszego odtłamu społeczeństwa nie poszły na marne: powitali w nim częściową zapowiedź realizacji swych najgłębszych tęsknot politycznych.

Od dnia atoli owej zapowiedzi upłynął blisko rok. Z górą zaś dwa lata upłynęły od dnia, w którym Polska, wraz z całym splotem swych dziejowych zagadnień, znalazła się w orbicie politycznej państw centralnych. Punkt, w jakim obecnie, na schyłku dwuletniego okresu, sprawa polska stoi w obliczu okupantów, a przede wszystkim w obliczu swojej własnej przyszłości, wskazując niewspółmierność osiągniętych rezultatów w stosunku do sił i środków, jakimi obie strony rozporządzają, wola teraz

natarczywiej o rewizję i krytyczne oświecenie dróg, któremi myśl polityczna zmierzała zarówno po stronie polskiej, jak po stronie okupantów, pracując nad jej rozwiązaniem.

Tylko jasność i szczerłość w zobopólnym stawianiu sprawy między Polską a państwami centralnemi, tylko szczerłość i odwaga, wyrażająca się w przemyśleniu swych myśli do końca, stworzyć może platformę, dającą obu stronom możność powzięcia dziejowo-twórczych postanowień.

Tej odwadze i szczerości założeń chce służyć wydawnictwo obecne, dające w cyklu monografji poszczególnych przekrój Polski pod rządami okupacji.

Ukazujące się obecnie studjum

„POLACY i NIEMCY“

ujmujące stosunek polityczny na gruncie okupacji wojennej dwu tych narodów, jest pierwszą z szeregu zamierzonych prac. Po nim następują:

Zagadnienie jednności narodowej.—Prawotwórczość okupacyjna.—Dwa lata rządów okupacyjnych.—Wymiar sprawiedliwości pod rządami okupacji.—Polityka aprowizacyjna rządów okupacyjnych.—Sprawy narodowościowe pod rządami okupacji.—Polityka dzwonów pogrzebowych (Geneza polskiego pasywizmu).—Miedzynarodowe źródła C. K. N.—Ciężary finansowe okupacji.—Rolnictwo pod rządami okupacji.—Przemysł pod rządami okupacji,—oraz inne prace, ujmujące całokształt sprawy polskiej podczas rządów okupacji.

POLACY I NIEMCY.

1915 — 1917

NOC 4 SIERPNIA 1915.

I

Najcięższym wspomnieniem naszego życia pozostanie na zawsze dzień 5 sierpnia 1915 roku najsmutniejszy dar, jaki dzieciom swoim i wnukom przekaże w puściznie pokolenie obecne.

W rocznikach oręża niemieckiego—dzień zasłużonej chwały.

W dziejach nietylko wschodniej, ale i środkowej Europy — dzień wiekopomnego przełomu.

W księdze Warszawy—biała karta niezapisanego czynu.

W sercu każdego Polaka, który dzień ów przeżył w Warszawie, przeżył i — głowy nie roztrzaskał o głąz martwego milczenia: dzień dozgonnego wstydu.

Pokolenie, które w Polsce ów dzień przeżyło, spocznie w grobie bez blizn na piersi lub czole, ale z blizną potworną przez serce: z blizną, jaką piorun wstydu je przeorał.

Przez całą noc, ów dzień historyczny poprzedzającą, wstrząsały murami miasta dalekie strzały armatnie i zbliżające się coraz echa wysadzanych fortów i fabryk: odgłosy, w których czuć było wściekłość i panikę ucieczki, w których odgadywało się obszar i potęgę pogromu.

Tak! Już nie mogło być wątpliwości. W łunach stu pożarów nadchodziła dla Polski godzina oczyszczenia; godzina, o której śniło całe stulecie, to najczernerwieńsze w łańcuchu polskich stuleci. Cały wiek wysiłków, poszarpanych w dzikie i krwawe strzępy, wiek ofiar, nad którymi gwiazdy żadnej nie wschodziły nadziei; to wszystko, co zdało się okrutną niedorzecznością w tym okrutnym i nierównym zmaganiu się z przemocą: to wszystko teraz nabrać miało usprawiedliwiającego je sensu; miało tej nocy uwieńczyć się dziełem, podnoszącym rozbite wysiłki wieku do poziomu jasnej, tryumfującej logiki. Wstające z za Wisły słońce miało oświetlić i w purpurę oblec ów sen przedśmiertny krwią oślepych oczu, z jakim walili się w proch pobojoywiska żołnierze Ostrołęki i męczennicy Sybiru: miało oświetlić stolicę Polski na zawsze wolną od Moskale, wolną i niepodległą!

Wszystko to, co było buntem przeciw Rosji a zarazem parciem ku własnej nieskrępowanej woli, poczynając od Kościuszkowskiej przysięgi aż do chwili, w której działy polska w Warszawie poprzysięgła bronić szkoły własnej: wszystko to zdało się nabierać oczy-

wistej i zrozumiałej wymowy w obliczu tego nadchodzącego dnia, niosącego zapowiedź zmartwychwstającej prawdy. Prawdy, która hukami armat i łoskotem walących się fortec mówiła, że przemoc na ziemi ujarzmionej trzymać się może tylko ciężarem wywieranego ucisku, ale nigdy nie zwiąże się z ziemią węzłami żywego korzenia, dającymi jej moc wrośnięcia w glebę i czerpania z niej soków nieśmiertelnych.

I ktokolwiek owej nocy patrzył w kurzawę ucieczki, zwanej ewakuacją miasta, w ten potok przerażenia i szału, jaki gnał ulicami Warszawy, ku mostom—za Wisłę, temu wydać się mogło, że przez polską ziemię dmie jakiś straszliwy wichur, unosząc wszystko, co obce, i że w oddechu jego—zjawisko cudowne!—najbliższy płatek uczuć polskich, liść z polskiego drzewa, większej nabiera wagi i odporności od najcięższej artylerji rosyjskiej.

Ale czyż owa godzina oczyszczenia nie miała zarazem stać się dla Warszawy godziną próby?

I oto, w ślad za tym pytaniem, szła okrutna myśl, że marzenie całego na ziemi naszej stulecia ziszczało się tylko w połowie, w okaleczającej i haniebnie ułomnej postaci, że wyśniona godzina nadchodzi w szkarłacie obcej krwi i obcym dzwoni orężem; że pogrom zaboru rosyjskiego nie jest tryumfem Polski! Z trzaskiem łamały się ostoje panowania rosyjskiego: na przemocy fizycznej ufundowane, ginęły razem z fundamentem, ale — nie na polskiej woli fundamentie. Krwawy stuletni najazd ustępował, ale ustępował nie przed siłą polskiego ramienia! Grom, który weń uderzał, nie był gromem, zwiastującym Raclawicką wiosnę. Ogień, w którym kruszyło się jarzmo naszej niewoli, nie był ogniem naszego odwetu! Wojna, do której od lat stu tęsknił, jak do zdrowia, genjusz całej Polski, zaskoczyła jej stolicę w stanie takiej beznadziejności, jakby niewola wszystkie słońca już nad nami pogasiła.

Los Polski przesilał się tej nocy poza Warszawą, przełamywał się poza Polską. Stolica kraju w ową noc nie była stolicą narodu: była tylko arytmetyczną sumą swych mieszkańców, tylko hipotecznym wykazem swych nieruchomości — zbiorowiskiem kamieniczników i lokatorów, filantropów i żebraków, kościołów i kabaretów. Była miljonem krzyżujących się trosk, miljonem rozpięzchniętych zabiegów. Nie była troską jedną, jedyną — zdolną pochłonąć wszystkie. Błuznierczym oczom zdawać się mogło (a czyjeż oczy i usta, prawdziwie kochające, nie zbluźnią, patrząc na poniewierkę swego ukochania?), że Warszawa jest już tylko wygasłym wulkanem swej własnej przeszłości, że jest już tylko grzybem, wyrosłym w łaskawym cieniu niewoli... Dziś—ofiara ucisku; jutro—nagroda zwycięzcy.

Polskość tryumfowała tej nocy? Zapewne; ale był to tryumf roślinnego trwania. Ktokolwiek zwycięży, ona ostoi się na swym odwiecznym miejscu, na kościach swoich przodków; ale ostoi się tak, jak pobojuwisko, dziś zdeptane tabunem koni kozackich, jutro—podesłane chorągwiom pruskiego zwycięstwa.

Warszawa wybrała neutralność? Zapewne; ale była to neutralność przedmiotu, o który dwie strony przeciwne rozgrywają partję, nie zaś neutralność podmiotu, który przeciwstawia się walce w imię skupionej siły, czekającej na moment dojrzałego wyboru. Warszawa swą rzekomą neutralnością wyzywała wszystkich i wszystkim furjom zniszczenia otwierała bramy, ale znikąd nie zapewniała sobie odsiecz.

Nie! Nie była to neutralność polityczna. To—była dziejowa nieobecność.

Mury warszawskie dzwoniły od tętentu cofanych taborów, jak ongi w noc Listopadową, ale serce Warszawy nie drgnęło i nie rozkołysało się dzwonem tamtej nocy wielkiej.

Wszelako, aby uwydatnić w całej groźnej i niewyczerpanej głębi tę różnicę czasu, jaki w Polsce od tamtej chwili upłynął, zdarzył się był epizod, który, jako szczegół sam

w sobie, był bólem i upokorzeniem, lecz na tle stanu powszechnego starczyć miał za jedyną pociechę, — pociechę jakże smutną! — tej nocy. Rosjanie, w ostatniej niemal godzinie przed opuszczeniem miasta, jak ongi w noc Belwederczyków, dopadli do lochów i — w beładzie ucieczki — znaleźli czas na swą ostatnią czynność oprawców: przykuli gromadę więźniów politycznych do strzemion uchodzącego kozactwa. Powtarzała się tragedia Łukaszińskiego, lecz w jakże odmiennym warjancie! To, co ongi wilo się w sumieniu Warszawy krwawym urągowskiem i wyrzutem, teraz, w obliczu powszechnej głuchoty miasta, wyrastało niemal do znamion jego uszczytnienia. Co wówczas było dnem niedoli i bierności polskiej, teraz stawało się wierchołkiem aktywizmu! W owej bowiem zemście dzikiej składał zabór carski ostatni swój hołd królewskiej niewolnicy: kolebce Dąbrowskich, Mochackich i Trauguttów! Wlokąc za sobą ofiary swego ucisku, zaborca korzył się jeszcze w tym gwałcie przed jej powstańczą tradycją, przed zorzą jutrzejszego dnia, o którym nie wątpił, że, gdyby słońce go nie zbudziło, zbudziłyby go pochodnie polskiej krwi! Wyrывая z łona Warszawy ten ostatni łup carskich szubienic, wróg, w tajemnym swoim obračunku, dzielił się z nią także, niesforą poddanką, odpowiedzialnością za dzieło swojej klęski. Uczcił w niej duchowe ojcostwo Legionów, które naówczas, pod swą nieśmiertelną ideą, przerażały sobie ku niej krwawą, lecz chwalebną drogę.

I gdyby Warszawa wtenczas była ową odpowiedzialność podjęła! Najmniejszy odruch jej woli sprowadziłby historyczne następstwa. Najmniejszy odruch woli byłby skinieniem dłoni monarszej. Gdybyż, przynajmniej, wówczas Warszawa była odpowiedzialności tej nie zaprzeczała, pozwalając mówić grobom swoim, otwartym swoim ranom, pomnikom swej przeszłości! Gdyby Warszawa była w owej chwili przyśpieszyła bicie swego serca, to tym serca biciem przyśpieszonym zbliżyłaby godzinę swego oswobodzenia, odwracając zasadniczo porządek zdarzeń w tej godzinie: nie zaborca, uchodząc, zakuwałby wówczas zaczął polskiej insurekcji w dyby, ale Warszawa, powstając, straciłaby z siebie resztki obcego zaboru. Serce Warszawy wciąż jednak biło niezmiennie tętnem równym, nijakim, biło tętnem — neutralnym!

Już parła od południa gorączka niemieckiego pościgu, a Moskal na przeciwnym krańcu miasta jeszcze gospodarzył, przetrząsając tak cenne dla siebie perły ofiar Cytadeli. I to, że wspomnienia Łukaszińskiego, na tle bezwładu miasta, ożyły tak wybitnie tylko w gwałcie od strony najeźdźnika, że, poza tym, gorzały jedynie w pożarach, jakimi cofający się wódz armji rosyjskiej oświecił pół Polski; że garść jeńców, w głąb Rosji uprowadzanych, była jedynym przedstawicielstwem politycznym Warszawy, biorącym sankcję z ducha jej historii; że odgłos ich dzwoniących kajdan był jedynym głosem, który w historycznym przełomie tej nocy, imieniem Warszawy mówił prawdę rzetelną o Polsce: to było tym krzykiem wśród nocy, który, zbyt słaby na to, aby przewyciężyć milczącą wokół siebie pustynię, dość miał rozpacz i siły, aby ją wskazać i uwydatnić. Urągliwe opieszaństwo, z jakim żołnierz rosyjski dotrwał w Warszawie aż do momentu mechanicznego niemal wyparcia go przez pułki niemieckie, kładło się świadectwem potępienia na stokroć większe opieszaństwo miasta: czyż nie rodziło ono zgubnego pozoru — zgubnego dla nas zarówno, jak dla nowych zdobywców Warszawy — że prężność narodowa stolicy spadała do zera? Że w splocie sił czynnych przestała być siłą, nakazującą brać siebie w rachubę?

W łożysko, opróżnione przez zabór rosyjski, wlać się miał zabór niemiecki tak niepowstrzymanie i bezopornie, jak gdyby walka między Niemcami a Rosją nie rozgrywała się w łonie żywego narodu, ale w próżni bezdziejowej: jak gdyby nie tu właśnie, nad Wisłą, tkwił jeden z najkrwawszych węzłów tej wojny.

Między śladem ostatniego Rosjanina a stopą wkraczającego Niemca nie znalazło się ani piędzi wolnego, wydartego Rosjanom, terytorjum, na którym stopę mógłby postawić Polak, na którym myśl polityczna polska mogłaby spotkać się z myślą polityczną Niemiec, by zawrzeć braterstwo broni pod zrozumiałemi dla obu stron hasłami: wrogowie naszych wrogów stają się naszymi przyjaciółmi i — z dwu wrogów nie ten jest gorszy, który srożej nas może uciskać, ale ten, który nas uciskać musi. Każda piędź ziemi, wydartą wówczas z pod nóg rosyjskich, stawała się bezcennym na przyszłość nakładem: polem, na którym Warszawa odzyskiwała swe utracone berło. Niestety, ramię czynu polskiego spóźniło się tej nocy tak samo, jak spóźnić miała się u bram Warszawy myśl polityczna Niemiec, wyprzedzona przez pruski bagnet. Warszawa nie zdobyła dla siebie ani jednej godziny własnej. Nie miała ani jednej godziny dziejowego sam na sam z popiołami swej przeszłości. Nie powzięła więc ziarna tej godziny w siebie; nie zaszła w tę noc brzemieniem wielkich postanowień. O nieobecność tej jednej godziny rozbiła się możliwość historyczna, która zdawała się mieć wszelkie znamiona historycznej konieczności: woła narodu polskiego rozminęła się z rozumem stanu niemieckim. Niepodległość polska miała powstać z martwych, ale nie z ryngrafem wiary swoich ojców, tylko z paszportem niemieckim i austrijackim w ręku.

Ponad głową milczącej Warszawy starły się ze sobą dwie obce i dalekie fale, starły się w ową noc tak obojętnie i głucho, jak kręgi wód nad głową topielca.

II

Kiedy na wschodzie wstał pierwszy brzask, zrywając pieczęcie nocy, trzy kolejno po sobie następujące huki wysadzonych mostów dały znać, że jednocześnie zerwana została pieczęć owej nocy stuletniej, która była w tym kraju nocą niewoli rosyjskiej.

Odwracala się wielka karta dziejów.

Słońce atoli, które w owej chwili wzeszło nad Warszawą, rzucając pierwsze promienie na tę kartę nową, pozwoliło zarazem odczytać na niej pierwszy tekst: był to tekst obwieśzczenia niemieckiego, które los miasta zamykało w terminach policyjnego rozkazu. Stolicy kraju przyznawano tam tyle godności, ile wymagała chluba odniesionego nad Rosją zwycięstwa.

Zmiana dokonała się tak szybko, że miasto, które mogło być zasnąć z obrazem rosyjskiego żandarma pod powiekami, otwierając oczy, ocknęło się już pod wartą pruską.

Warszawa, jak ów weselny w dramacie Wyspiańskiego „gospodarz“, przespała noc swojego wyzwolenia.

Wojska niemieckie, o poranku tego dnia wkraczając w ulice Warszawy i spotykając na placach tłumy przechodniów, poglądające ciekawie ku przybyšom, powiedzieć sobie mogły: „Oto—publiczność polska!“—i zapytać musiały: „A gdzie jest polski naród?“

Nie otrzymując odpowiedzi, powinszowały sobie, zapewne, podwójnej wiktoryi, pomyślawszy, że odniosły w Polsce zwycięstwo nie tylko nad Rosjanami, ale i—nad Polską.

SPADKOBIERCY BISMARKA.

III

Na niewyrażone, ale niemniej przeto wymowne pytanie ze strony niemieckiej, nie dała Warszawa żadnej odpowiedzi i w tej niemocie politycznej zawarła ów ogrom politycznego ubóstwa, z jakim wychodziła z okresu niewoli. Owym brakiem głosu i woli w chwili sta-

nowczej mściło się na Polsce sto lat jej podziemnego życia. Biorąc atoli w rachubę pochodzenie tego ubóstwa, cóż powiedzieć o tych, którzy przychodzili z wielkiego gościńca dziejów, z krwawego szlaku swoich zwycięstw, a którzy, nie otrzymawszy odpowiedzi, osądzili, że Warszawa jest tylko kupą gruzów zburzonego zaboru, tylko rumowiskiem obcego władztwa, gruntem niewdzięcznym, na którym plenić się i kwitnąć może jedynie kolczasta roślina rekwizycji?

Polityczna niemoc Warszawy, wynikająca z rozbicia i atomizacji narodu, była wielka, jak stuletnie łożo niewoli, która je wyhodowała. Ale cóż powiedzieć o polityce niemieckiej, która wyszła na podbój nowego układu państw w Europie, a przyniosła do Warszawy tę całą małostkowość walki, którą Prusy od lat czterdziestu walczyły w zaborze swym z dziećmi polskimi?

Co więcej: zważywszy dziejowe legitymacje tej śmiesznej, zaiste, ale i bolesnej nędzy polskiej, narzuca się pytanie: czy owa niemota polityczna, którą Niemcy zastali w Warszawie, nie była, do pewnego stopnia, refleksem niemoty i nędzy politycznej Berlina? Czy nie była, w części, owocem pośrednich i bezpośrednich oddziaływań pruskich ślepców politycznych, którzy, uwikławszy swój i polski naród w zażartą a jałową walkę o zagrodę chłopską, o pacierz polski. o jeden szyld sklepowy, sfalszowali godło tej nadeciągającej wielkiej wojny ludów, która oddawna była rozdziałem w księdze polskiej ewangelji, a którą oni zapisać chcieli w księdze drobnomieszczańskich zysków. Patrząc na potęgę militarną, jaką Niemcy okazały podczas wojny i na to bezwzględne do niej nieprzygotowanie polityczne, możnaby powziąć przypuszczenie, że myśl polityczną nosiły one w pochwie, jak miecz, i dopiero razem z mieczem ją dobyły, równie jak miecz ciężką, ale zato najzupełniej tępą.

A przecież Niemcy, cokolwiekby powiedzieć się dało na usprawiedliwienie charakteru obronnego ich wojny, nosiły wojnę tę we krwi od lat czterdziestu, w żywiołowym poczuciu, że rok 1871 był tylko etapem na ich drodze dziejowej, ale nie był ani kresem tej drogi, ani uwieńczeniem. I gdy, nareszcie, wojna ta, wojna, którą w ciągu pokoleń ze zgrozą przepowiadano, ale w którą na dobre nigdy nie wierzono, wybuchła i — wybuchła w tak wielkich odrazu rozmiarach, we wszystkich krajach niemieckich przyjęto ją z całym przeświadczeniem o powadze i tragizmie znaczenia, ale przyjęto z entuzjazmem, jak gościa, niosącego w gromach dary boże. Nie ulega wątpliwości: podświadomy instynkt duszy niemieckiej rozpoznał w niej oblicze swej wielkiej tęsknoty; powitał ją, jak się wita swoje przeznaczenie: od pierwszej chwili wojnę tę ochrzcił imieniem swoim własnym: *Der deutsche Krieg*. Razem z pokojem, rzekłbyś, stoczyła się z piersi tego narodu fala nieznosnego ciężaru. Wojna, poprzez opary krwi, niosła krajom niemieckim ulgę i wyzwolenie z ucisku, którego istota ujawniła się, być może, dopiero podczas wojny, ale który głuchą dolegliwością leżał oddawna na życiu politycznym Niemiec.

Ten ucisk leżał w równej mierze na zewnętrznej, jak na wewnętrznej polityce Rzeszy Niemieckiej, a wynikał z braku wielkiego i jasnego celu, któryby, świecąc nad całokształtem życia, wszystkie kształty jego spajał i w jednym ogniskował dążeniu. W pierwszym dziesięcioleciu po stworzeniu Rzeszy, gdy grały jeszcze echa tryumfalnych dni Nikolsburga, Sedanu i Wersalu, ów brak celu twórczego, dającego sens polityczny nowemu okresowi, nie dawał się odczuwać zbyt: nad płaskim dniem dzisiejszym jaśniało górne wczoraj. Zwolna dopiero, z biegiem dalszych dziesięcioleci, odsuwających coraz bardziej w głąb wspomnień okres wielkiej twórczości państwowej, brak ów narzucał się wrażeniem coraz bardziej niepożytym, przeistaczając się w dławiące poczucie owej próżni politycznej, która odsłonić się miała całkowicie dopiero w blasku wzniesionego miecza.

Naród niemiecki, trzymając żelazną straż nad Renem i nad Wartą, czuł odruchowo, że

zadanie obrony i przeżuwania tego, co się zdobyło i posiadało, nie może stanowić treści wysiłków godnych wielkiego narodu; że ponad horyzonty wielkich, zjednoczonych przez Bismarka Niemiec, wyrość winny Niemcy nowe, większe i głębsze od Bismarka. Samopotwierdzenie bytu narodowego, kult rzeczy dokonanych, zwycięstw odniesionych i osiągniętych zdobyczy: to może być dobre, jako założenie i punkt wyjścia dla życia politycznego na drodze dalszego rozwoju, ale nie wystarcza, jako jedyna karm' żywota. Gdy pobojuwisko, będące polem krwawego mokołu ojców, staje się miejscem przechadzki świątecznej dla synów, zapowiedź to groźna, że rychło zmienić się ono może w cmentarzysko zmierzchu — dla wnuków.

Czyż synowie i wnuki skazani będą zawsze tylko na stawianie pomników swoim ojcom i dziadom? I na polityczną drzemkę w cieniu ich spiżowej chwały?

Prawda: niepokój odczuwania rosnącej pustki politycznej zatracił się po części i przeciwwagę znajdował w radosnym podziwie na widok tych niesłychanych postępów ekonomicznych, jakie Niemcy uczyniły od roku 1870; postępów, które kraj ten z kraju ubogiego w jednym pokoleniu zrobiły krajem zamożnym, w drugim — krajem bogatym. Wzrost ludności, zwłaszcza zaś bezprzykładny rozrost wielkich miast, szedł w kraju tym ręka w rękę z olbrzymim rozwojem bogactwa narodowego na drogach handlu i przemysłu, opartego o wszechstronną uprawę i spożytkowywanie owoców techniki, tej chluby ostatniego wieku.

Zdobycze gospodarczo-techniczne były, rzecz można, przeciwwagą i zdawały się współczesnym przeciwwagą całkiem dostateczną wobec jałowości i posuchy powszedniego życia politycznego, o ile wogóle jałowość ta nie ginęła bez śladu w odgłosach tryumfów ekonomicznych. Tryumfom tym opinia społeczna i opinia sfer kierowniczych państwa skłonna była przypisywać znaczenie samoistne i samostarczalne, niezależnie od związku ich z zadaniami polityki państwowej. Nie przeczuwano, w jak ścisłej łączności rozwój gospodarczy iść musi z rozwojem politycznym; nie zdawano sobie sprawy, w jak doniosłej skali krzyżują się i splatają ze sobą oddziaływania wzajemne tych dwu dziedzin twórczości. Pochłonięte produkcją gospodarczą Niemcy zaniedbały, gorzej, zamroziły pola produkcji politycznej.

I trzeba było dopiero oceanicznego podmuchu wojny, by Niemcy wstrząśnięte jej uderzeniem, oderwane od warsztatów pracy zawodowej, wyzwolone z miliona poszczególnych komórek, odkute z łańcucha codzienności, odezwały w nagłym olśnieniu błyskawicy, jak pogłębione, jak wielokroć spotęgowane znaczenie wlewa się, pod wichrem wojny, w te materialne liczby i pozycje: w liczbę ludności, w sumę narodowego mienia, w prężność techniczną, w sprawność gospodarczą; jak, mianowicie, nabierają one treści i głębi duchowej z chwilą, gdy stają na usługi politycznego działania!

Wszelako dni te, pierwsze dni wojny, okazały, że Niemcy, stając w ich progu w pełnym uzbrojeniu potęgi materialnej, potęgi fizycznej i technicznej, są zarazem nędzarzami myśli politycznej. Tę nędzę mieli oni rozwlec na zwycięskich swoich bagnietach po wszystkich pobojuwiskach Europy, aby wreszcie w zwycięstwach własnych się uplatać, jak w sieciach, zastawionych przez wroga. Jednym ze zwycięstw takich miała stać się dla Niemców i okupacja Warszawy: jednym z owych zwycięstw, w których Niemcy jałowością swej myśli wyjałowili dzieło swego oręża.

W świetle pierwszego już tygodnia wojny miało wyjść na jaw, że okres powstawania Rzeszy był na tle dziejów niemieckich tylko, jak mówi Hugo Preuss, „epizodem bohater-skim“, epizodem, który Niemcy, obok dzielności swego wojska, zawdzięczali dwu rzadkim wyjątkom: wyjątkowej obecności głowy politycznej w Niemczech i jeszcze bardziej wyjątkowemu zdobyciu przez tę głowę polityczną rzeczywistej politycznej władzy. Ten epizod

sprawił, że Niemcy znalazły się, po śmierci Bismarka, na szczycie siły politycznej bez żadnej politycznej busoli. I w tym, poniekąd, ujawniło się niebezpieczeństwo puścizny bismarkowskiej dla samych Niemiec. Najtęższy na lądzie Europy miecz znalazł się w ręku najwątleszej myśli. Żywotność mocarstwowa Niemiec poszła całkowicie w rozwój militarny: największa atoli siła militarna nie zastąpi celu politycznego, któremu ma służyć. Miecz, kierowany przewodnią myślą polityczną, jest narzędziem ewolucji dziejowej. Miecz, pozbawiony myśli politycznej, jest żegadłem do puszczania krwi sobie i—sąsiadom.

Gdy w zakresie dóbr materialno-ekonomicznych rósł i organizował się w Niemczech świat nowy, świat zdobywczy, daleko poza rubież państwa promieniujący, wewnętrzna polityka niemiecka kręciła się w błędnym kole wciąż tych samych zagadnień, instytucji i autorytetów, które, w Prusiech zwłaszcza, przechowały się w postaci niezmiennionej, jakby zakonserwowanej, od czasów Steina i Hardenberga. Sejm pruski, który już w chwili swych narodzin był płodem o pół wieku spóźnionym, dotrwał w swej dwakroć strupieszalej postaci aż do pożaru wojny. Niemcy skarżą się na obmowę angielską, która nie cofa się przed niczym, by spotwarzyć życie publiczne ich kraju; ale czyż najzłośliwsza plotka mogłaby gorsze życiu ich wystawić świadectwo ubóstwa, niżli obecność tej staroświeckiej mumji, jaką jest Sejm Pruski, mumji, która poza caratem w Rosji nie miała żadnych już na świecie nowocześnieśników! Cóżby powiedział przedsiębiorca niemiecki, gdyby kazano mu w przemyśle poprzestawać na maszynach z epoki Metternicha? A przecież Sejm Pruski już w pokoleniu Metternicha byłby maszyną, budzącą duże wątpliwości. Czyż sama obecność w XX stuleciu tak przeżytego aparatu politycznego nie świadczy, że energia polityczna zastygła w kraju tym na martwym punkcie, na poziomie dnia przedwczorajszego, przenosząc w teraźniejszość potęgę przedwczorajszą? Że wszystkie siły żywotne kraju, odwróciwszy się plecami do polityki, szukały pola dla wyładowania swych sił w handlu i przemyśle? Tylko poza plecami żywiołów, istotnie w narodzie twórczych i ambitnych, mógł Sejm Pruski dowiec swój posępny żywot aż w głąb trzeciego roku wojny. Dziś — nikt go już nie zwalcza, ponieważ nikt już nie ma odwagi go bronić.

Powie ktoś: pod powierzchnią tej nudy i czezości politycznej nurtowała ciągła opozycja. Tak, niezawodnie; lecz opozycja ta nie była fermentem twórczości. W społeczeństwie istniały nastroje opozycyjne; ale nastroje te nie były tętnicami, w których przelewa się lawa tłumionego buntu; były raczej wentylami, rozpraszającymi niebezpieczeństwa wybuchu. Społeczeństwo poddawało się nastrojom opozycyjnym; popierało nawet partje przeciwrządowe, ale żadnej z nich nie oddawało waru swojej krwi. W gruncie obdarzało ono rząd tą samą pełną pobłażania ciepłotą, co i najsłabsze, bądź z lewa, bądź z prawa, opozycje. Rewolucja niemiecka gotowała się na wolnym, bardzo wolnym ogniu i nie budziła najlżejszego postrachu, iż kiedykolwiek wykipi. Istniał, wprawdzie, wielki zbiornik opozycji powszechnej w łonie socjal-demokracji: ale czyż socjal-demokracja niemiecka, obok armji pruskiej, nie była właśnie najbardziej pruską instytucją w świecie? W głębi, zarówno po jednej, jak po drugiej stronie barykady, zdawano sobie sprawę, że Bebel był równie dobrym Niemcem, jak Buelow, że Scheidemann był tylko uzupełnieniem Bethmanna-Hollwega, i—że ich walka była beznadziejnym potykaniem się o nieistotne sprawy, na nieistotnym gruncie.

IV

Ten sam brak wszelkiej idei oraz celowości, celowości, która bywa niczym innym, jak tylko wolą zbiorową, dochodzącą do ujęcia swej treści, ciążył niemniej, a może nawet

większym jeszcze uciskiem na polityce Niemiec zagranicznej. Co więcej: pustka w tej dziedzinie starannie była przez czynniki rządowe pielęgnowana, jako znamię dobrej reputacji.

Każdy świadomie osiągnięty przez się postęp gospodarczy na morzu, czy na lądzie, Niemcy zaopatrywały w zapewnienia co do swej zupełnej, pod względem politycznym, bezinteresowności. Podobne deklaracje bezinteresowności zjawiały się niekiedy nawet wówczas, gdy niemiecka polityka wewnętrzna uczuwała potrzebę niedwuznacznego podkreślenia stojącej poza sobą militarnej potęgi Rzeszy. Ale ponieważ wystąpienia te nie łączyły się w żaden zrozumiały system polityczny, ożywiony konsekwentną ideą, ponieważ wyskakiwały znienacka, przeto sprawiały zawsze wrażenie ostrych, rażących niespodzianek, które, w oczach zagranicy, zdradzały raczej samowolę rządu, niż wyrażały konieczności państwowe narodu. Tak zwolna rosło w świecie przekonanie o dwoistości w Państwie niemieckim rządu i narodu, a raczej o biegunowej przeciwstawności dwu istniejących w nim narodów: rządzących i rządzonych. To przekonanie miało stać się największym dla Niemiec niebezpieczeństwem: czyż nie na nim wsparła się ideowa łączność Koalicji?

Że deklaracje Niemiec mogły być uczciwe, pokazuje się stąd, że popisy ich siły mocarstwowej, nawet wówczas, gdy osiągały powodzenia doraźne, w skutkach dalszych, w skali globalno-politycznej, okazywały się przeważnie dla państwa bezcelowe. Ta wszakże bezcelowość wywierała w świecie zewnętrznym dla Niemiec skutki najgubniejsze. Nic bowiem nie powoduje tyle nieufności i podejrzania u ludzi, co bezpotrzebne okazywanie siły, bezpotrzebne—to znaczy: nie zmierzające do realnego celu.

Nikt w Europie nie osiągał tak niedużych zysków politycznych równie dużym chręstem żelaziwa, jak Niemcy. W liczbie ich nieprzyjaciół dzisiejszych, wielkich i małych, niema ani jednego, któryby w ostatnich latach i dziesięcioleciach nie obłowił się mniej lub więcej pokaznym łupem: nawet wielka demokracja amerykańska, głosząca Niemcom dzisiaj przykazania cnót międzynarodowych, sięgnęła była man u militari po Filipiny i po Kube, zdobywając je na Hiszpanji wcale nie wyższością swego prawa do nich, ale wyższością—floty bojowej. Czyż trzeba wspominać, że w tym samym okresie „kwitającego pokoju“ inna republika demokratyczna zaokrągliła swe olbrzymie 40 milionów ludności liczące imperjum afrykańskie? że Rosja parła w głąb Azji? że Anglja zdobyła Cypr, Egipt, Sudan i posiadłości Burów? że nawet Włochy zagospodarowały się w Libji, a Belgja—w Kongo? Tylko Niemcy jedne stały wobec tego współzawodnictwa grabieży niewinne, z pustemi niemal rękami: i mimo to — a może właśnie dlatego — uchodziły za największego żarłoka, za najgroźniejszego wroga i burzyciela pokoju!

Można się zgodzić z Niemcami w tym, że na powyższą opinię pracowały gorliwie mściwość francuska i zazdrość angielska, że w źródłach jej miały udział i nienawiść i lęk i przewrotność, wszystkie te składniki sugestji, którymi Entente usiłowała izolować Niemcy na długo przed wybuchem wojny. Niewątpliwie! Koalicja nie szczędzi Niemcom strzał zatrutych, maczanych nieraz w pianie bezsilnej wściekłości. Wszelako, psycholog polityczny, dla którego nie istnieje dogmatyczna granica, dzieląca ludzi na złych i na dobrych, spojrzeć musi na to przeciwieństwo dwu światów pod bardziej realnym kątem; musi je ująć i zrozumieć w przekroju konkretnych, mieniających się życiem, działań i oddziaływań wzajemnych.

Strzały, którymi w Niemcy godzi Koalicja, nie zawsze mają styl klasyczny i, zapewne, nie pochodzą z Hektorowego kołczanu: ale czy nie wskazują w nich Achillesowej pięty?

Gdy w okresie, jaki nastąpił po pokoju Tylżyckim, na Prusiech legło zwierchnictwo francuskie, Napoleon, jak mówią jego dziejopisi, wielce był pono niezadowolony z działań

ności swej policji tajnej i raportów czarnego gabinetu: zarzucał im, że nie donoszą mu nie o spiskach i sprzysiężeniach, nurtujących społeczeństwo pruskie. Nie chciał wierzyć, aby naród o tak wojowniczej przeszłości, naród, w którym jeszcze pokolenie wielkiego Fryderyka nie zeszło było do grobu, uległszy jarzmu obcemu, wyzbył się odrazu i zupełnie aspiracji politycznych.

Czyż więc można było dziwić się, że sąsiedzi Niemiec, bliżsi i dalsi, nie chcieli wierzyć, by naród, rozporządzający pierwszą w świecie potęgą militarną, naród rosnący z dnia na dzień w ludność i w dobrobyt, naród o tak żywiołowej sile parcia gospodarczego, był jednocześnie pozbawiony całkowicie inicjatywy i woli w zakresie wielkiej polityki światowej? Zwłaszcza, gdy widziały, że naród ten przeważną część owoców pracy przelewał w działa i w pancerniki.

Czyliż to piętrzenie i tężenie sił nie miało stać się w ręku Niemiec środkiem politycznym, przeznaczonym ku temu, aby rozeprzeć ściany swego ciasnego w Europie więzienia, wyjść na szerokie pod słońcem przestrzenie mórz i lądów świata, i zwiększony udział swój w produkcji globalnej obwarować odpowiednim przyrostem siły politycznej; wreszcie, w wyniku naturalnej ewolucji swych zadań, podjąć ideę, pod której wykonaniem załamał się Napoleon I, ideę zorganizowania na nowych federacyjnych podstawach Europy środkowej i zachodniej?

Wszystkie inne narody i państwa, patrząc w rojne i zbrojne Niemcy, w ich twardy żołnierski ład, nie chciały i nie mogły wierzyć, by naród ten napełniał Europę grzmotem swego oręża na to tylko, aby ustanawiać coraz nowe rekordy zbrojeń.

I dlatego właśnie, że poza tą grzmącą potęgą oręża, nie było widać zrozumiałych i jasnych dążeń politycznych, dążeń i ambicji nie na miarę Ostmarkenverein'u, ale na miarę 70-miljonowego narodu, powołanego do udziału w radzie ludzkości; dlatego, iż ponad hełmem żołnierza nie dostrzegano duszy bojownika, a ponad hierarchją urzędów — politycznej odpowiedzialności ludu, przeto dokoła Niemiec rosła trwoga i podejrzliwość, widząca w nich jeden olbrzymi polip Ostmarkenverein'u, dyszący żądzą hegemonji nad światem, jeśli nie żądzą światowego rozboju. „Das grössere Deutschland“ — oto było hasło, jakie wychylało się z poza zimnego lasu bagnetów: czemuż te „zwiększone Niemcy“ zdawały się wszystkim ludom nie zwiększeniem, ale pomniejszeniem świata: zalewem ślepego żywiołu?

„Um Liebe werben wir nicht“ — o miłość nie zabiegamy, mówiły Niemcy Bismarka: lecz oto następcy jego mieli się przekonać, że obszar nienawiści, jaką zgromadzili wokół siebie, przekracza miarę tego, co najmeżniejszy człowiek znosić może z pobłażliwym uśmiechem. Polityka międzynarodowa nie zna związków opartych na miłości: ale wojna miała okazać, że ludy i państwa rozrywają związki, oparte na wspólności interesów z mocarstwami środkowymi, aby przyłączyć się do obozu antygermańskiego.

I nie był to przypadek, że Niemcy stanowiły jedyny przykład narodu, który, acz niekompletnie w ramach swego państwa zjednoczony, nie budził dążeń zjednoczeniowych w żadnym ze swych odłamów, zostających poza Rzeszą. Cesarstwo niemieckie ma u siebie sprawę alzacką, duńską i polską, które stanowią tyleż zadatków irredentyzmu; ale żadne państwo europejskie nie miało u siebie irredenty niemieckiej, któraby ku swemu państwu ojczyźnianemu ciążyła tak, jak Trentino ciąży ku Włochom, jak Wilno nie przestanie ciążyć ku sercu Polski. Czyż była kiedykolwiek pod słońcem większa nad Niemcy potęga materialna o mniejszej sile przyciągania? Rzekłbyś, iż potrafiła ona wiązać z sobą tych tylko, których miała władzę — przykuć. Promień aureoli, świecącej u ich czoła, nie wybiegał poza blask ostrogi, lśniącej u nóg pruskiego huzara.

Wojna, owa najwyższa dla ustrojów państwowych próba mocy i wytrzymałości, miała stwierdzić, że to, co zdawało się u Niemców silne, było w rzeczywistości jeszcze silniejsze; ale to, co było słabe, okazało się jeszcze słabsze. Ich potęga militarna przerosła na placach boju samą siebie. Ale ich idea polityczna stanęła poniżej swej najgorszej opinii. Artylerja niemiecka dowiodła, że umie czoła stawiać huraganom. Ale polityka niemiecka okazała, iż kończy się tam, gdzie kona pod szrapnelami ostatni żołnierz niemiecki.

Doskonałość uzbrojenia, wszechstronność i pełnia rynsztunku, w jakim Niemcy stanęły do boju, psychologia żołnierza, obfitość amunicji, genjusz dowództwa, eskadry napowietrzne: wszystko to stało się dla Europy utwierdzeniem mniemania, że Niemcy dążyły do wojny, żyły jej nadzieją, kuły ją nie tylko w kuźniach przemysłu, ale i w sercach ludu. Dlatego to każde zwycięstwo ich broni odrzuca im w twarz nie tylko przeciwnik, ale i świat neutralny, jako fałsz, zadany wszystkim ich deklaracjom pokoju. Każde zwycięstwo niemieckie zdaje się o tyle kruszyć siłę bojową przeciwnika, o ile wzmacnia zarazem słuszność jego uprzedzeń i oskarżeń. Najazd na Belgię, zburzenie Reimsu, pochód na Paryż przyjęto we Francji ze zgrzytem wściekłości, w której było tyleż rozpaczy na widok zniszczenia, ile mściwej uciechy na widok „zdemaskowania” istotnego oblicza Niemców: „Niech w gruzy wałą się wszystkie katedry Francji, krzyknął oszalały bourgeois francuski, jeśli gruzy te przypieczętować mają wieczną sławę—Hunnów”.

Ponieważ Niemcy, ruszając na wojnę, nie wierzyły sobie, że idą, aby przebudować Europę: więc parafjalny bourgeois francuski powziął podejrzenie, że ruszyły po to, by strącić wieże z jego Notre Dame de Paris, złupić zeń 100 miliardów franków i pozbawić go swobody głosu w swoim kraju hasła antymilitaryzmu wedle Hervégo, lub kosmopolityzmu wedle Jaurès’a.

Ponieważ Niemcy, podejmując oręż, nie zdobyły się na tyle ufności w siebie, iżby uwierzyć, że podejmują go na to, aby świat uczynić bardziej ludzkim, więc wszystkie ludy ościenne poczęły wierzyć, że Niemcy chwyciły za oręż, by uczynić świat bardziej pruskim. Dlatego to wojna przeciwko Niemcom odrazu stała się krucjatą. Dlatego walka z nimi nabrała znamion sądu dziejowego nad nimi. Dlatego to poseł Stresemann, wypowiadając ból swego patryjotyzmu, dał wyraz jednocześnie tragizmowi rzeczy, rzuciwszy z trybuny parlamentarnej okrzyk: „Rząd nasz politycznie i dyplomatycznie wojnę przegrał, zanim ją militarnie rozpoczął”. Okrzyk ten każdego myślącego Niemca chwytła dziś za gardło groźnym wyrokiem na przeszłość, i—groźniejszym jeszcze pytaniem o przyszłość.

Żywiotowość i pełnia zbrojnego rozmachu, z jakim Niemcy pchnęły na wschód i zachód bataljony swoje, mające sztandary zwycięskie ponieść daleko w głąb krajów nieprzyjacielskich, mówi dostatecznie jasno, że naród niemiecki, od góry do dołu, zdawna do wojny się sposobił, a więc tej wojny chciał, naprzekór wszelkim deklaracjom swoich mężów stanu, parł do niej wszystkim instynktem żywotności, zdrowia i samozachowania: chciał jej sztab wojskowy, chciał jej przemysł, chciał i czekał na nią zarówno chłop, jak robotnik, agrariusz, jak socjalista.

Lecz czyż wojna nie bywa tylko dalszym ciągiem polityki, prowadzonej w tym samym kierunku, ale innymi środkami? Tymczasem zupełny brak wszelkiej gotowości politycznej w momencie mobilizacji był nieodpartym dowodem, że Niemcy wojny tej nie chciały, że możliwości jej—nieledwie—nie przeczuwały.

Dyplomacja niemiecka stoi dziś pod pręgierzem całej niemieckiej opinii. Ale gdy się zważy lekkomyślność dyplomatyczną, z jaką Niemcy rozpoczęły tę najokrutniejszą z wojen, niepodobna oprzeć się wrażeniu, że tu chodzi o słabość głębszą, niż ta, która wynikać może z błędów najnieudolniejszego aparatu polityki zagranicznej. Najnieodolniejszy sztab wojskowy nie wyprowadzi żołnierza w pole z gołymi rękoma. Tymczasem, pod względem poli-

tycznym, Niemcy stanęły do walki ze światem najzupełniej nagie. Wystąpiły nie tylko bez tarczy i przyłbicy, ale i bez wstydu. By swą nagość posunąć aż do braku listka figowego, Niemcy w piątym dniu wojny wszechświatowej zbombardowały—Kalisz: karty były już rozdane — i Niemcy na ziemi polskiej biły pierwszą lewę.

Ten ostatni wypadek jest tylko szczegółem, ale takim, który otwiera perspektywę na całość obrazu. Jest on próbą tego krótkowzrocznego realizmu, tego ślepego rzeczoznawstwa Niemców, które glob ziemski gotowe jest ująć w tyłu a tyłu jednościami kosmicznego tonnażu, które poza rzeczą nie widzi utajonych w niej możliwości, i które dla jednodniowego powodzenia wywraca z gruntu bazę operacyjną dla działań na całe dziesięciolecia. Kalisz—na drodze militarnej—miał być pierwszym etapem do odbudowy niepodległego państwa polskiego. Kalisz — na drodze politycznej — stanął niemal, jako ostatni etap w rozwoju walki eksterminacyjnej z polskością. To przeciwieństwo świadczy, jak dalece, zarówno wewnętrzna, jak zewnętrzna polityka Rzeszy pozwalała sobie oczy zamykać na konjunktury, rozpościerające się tuż u bram wielkiego mocarstwa. Liczyła ona tylko wrogów, nie pomyślała o tym, by poznać i policzyć przyjaciół. Dla wrogów miała 42-centym. móżdżerze; sądziła, że wystarczą one i — dla przyjaciół. Nie przewidywała, że dla powodzenia i poparcia wymowy armat znaczenie mieć będzie nie tylko stanowisko pewnych państw, chwilowo nie biorących bezpośredniego udziału w wojnie, ale i postawa wszystkich państw neutralnych, zwłaszcza zaś nastroj narodów i ludów pogranicznych, tych, których ziemie stać się miały widownią rozstrzygających bojów, których krew stać się mogła znacznym na szali wojennej ciężarem, a których krzywda dziejowa i ból zdolne były zamienić się w dynamit, wysadzający w powietrze takie budowle, których nie ima się ani żelazo, ani ogień.

POD ZNAKIEM PRZYMIERZA.

V

Że państwa środkowe mogły znaleźć w Polsce pierwszorzędnny czynnik nie tylko militarnego, ale i politycznego działania, świadczą Legjony Polskie oraz ideologia, z której wyrosły. Miejscem ich powstania i mobilizacji była Galicja; ale dusza ich powstała z ideologii całej Polski, z dziejowego buntu przeciw Rosji. Na pierwszy odgłos wojny związki i drużyny strzeleckie w Galicji skupiły się pod tym samym sztandarem, który do boju wiodł ojców naszych i dziadów, z góry odpierając swoim wystąpieniem tę potwarz, jaką manifest Mikołajowski miał rzucić na powstańczą naszą tradycję, imienia jej nadużywając dla interesów imperjalizmu rosyjskiego, ukrytego w hasło zjednoczenia ziem polskich pod berłem caratu. Kiedy na bruki Wiednia i Berlina, jak krwawy deszcz, padały, jedna po drugiej, wieści o wojnach, które państwom środkowym wypowiadano; gdy każda wieść niosła im zapowiedź walki nieubłaganej; każda zapowiadała „zmiażdżenie“ i „rozbiory“; gdy wrogowie poprzysięgali im śmierć, a sprzymierzeńcy chowali w zanadrzu zdradę: wtenczas, z przedpola wojny telegram przyniósł wiadomość, że naród polski wypowiada walkę Rosji i staje do niej w ścisłej łączności z orężem mocarstw środkowych. Dnia 6 sierpnia 1914 roku Polska, w osobie swego czołowego zastępu, który pod własnym sztandarem przekroczył granicę zaboru rosyjskiego, rzuciła rękawicę nie tylko Rosji, ale i całej tej skoalizowanej nienawiści, jaka pierścieniem żelaznym miała opasać Europę środkową. W Petersburgu rękawicę podjęto i — dano natychmiast odpowiedź. Dyplomacja rosyjska odpowiedziała odezwą Miko-

łaja, niosącą obietnicę złączenia trzech zaborów w... jeden zabór. Sztab rosyjski odpowiedział rozkazem traceniał wziętych do niewoli strzelców polskich na szubienicy, jako przestępców państwowych. Rosja nie wówczas nie mogła ofiarować nam więcej. Wspólny jeden knut dla posłusznych; szubienica dla — zbuntowanych: oto był jej owoczesny program polski, kontrasygnowany przez Anglię i Francję, które w osobie caratu musiały uszanować podówczas interesy i godność pierwszego zapaśnika Koalicji. Odpowiedź Rosji była i skąpa i, zarazem, bardzo hojna. Skąpa, jeśli chodzi o „dobrodziejstwa“, które nieść miała dla nas. Ale bardzo hojna, jeśli wziąć pod uwagę horoskopy, które z czynu Legionów wysnuwała dla siebie. W czynie tym dostrzegła i wyczytała to, co w nim tkwiło istotnie: manifest walki o niepodległe państwo polskie, mające powstać na gruzach rosyjskiego zaboru. Na akt, wynikający z polskiej tradycji dziejowej, Rosja dała odpowiedź, wynikającą z jej tradycyjnej polityki: „Point des rêveries“.

Jaką miał dać odpowiedź Berlin?

Legjony stawały przed nim, jako żywotne, płodne wielkimi następstwami zagadnienie, które—któż zgadnie?—tało w sobie, być może, klucze sytuacji na wschodnim teatrze wojny. Legjony, jako widomy, orężny znak sprawy polskiej, były pierwszym ważkim pytaniem, które, wyłaniając się u progu wschodniej Europy, domagało się podjęcia i rozwiązania od polityki państw środkowych, a więc przede wszystkim od wewnętrznej i zewnętrznej polityki Niemiec, które, imieniem Europy środkowej, miały partję rozgrywać. Nie ulega wątpliwości, że było to pytanie trudne. Gdy Petersburg, w rozwinięciu swej racji stanu, mógł, wobec Legionów, poprzestać na odruchu politycznej inercji, Berlin, ze swej strony, ażeby sprostać sytuacji, przed jaką stanął, miał zadanie cięższe: zdobyć się musiał na polityczną myśl, na myśl twórczą i niemal—w stosunku do swych nałogów—rewolucyjną. W obliczu Petersburga Legjony stawiały sprawę polską w tej postaci, w jakiej on ją dobrze znał: w postaci miny wybuchowej, podłożonej pod całą zachodnią połać caratu. W obliczu, natomiast, Berlina stawiały ją w postaci zupełnie nowej i nieznanej. Berlin znał tylko i widział „niebezpieczeństwo“ polskie. Na całokształt sprawy polskiej patrzył poprzez prawa „kagańcowe“ lub ustawy „parcelacyjne“: ważył ją i oceniał oczyma landrata pruskiego z Brodnicy lub Lidzbarka, który tępienie żywiołu polskiego utożsamiał z pomnażaniem siły państwowej Niemiec. A oto dłoń polska, ta sama dłoń, którą starano się okuć i obezwładnić, wyciągała się teraz ku Niemcom z ofiarą przymierza i braterstwa broni, w chwili, gdy wszystkie dyplomatyczne ich rachuby padły, a wszystkie niemal przymierza zawiodły. Już w szóstym dniu wojny miały Niemcy przeciwko sobie trzy czwarte miljarde ludzi w obozie nieprzyjacielskim; przy swoim boku miały tylko — Austro-Węgry. Legjony Polskie, imieniem swego narodu, stając we wspólnym żołnierskim szeregu z państwami środkowymi, imieniem nieprzedawnionych jego dążeń składając ofiarę krwi na walkę wspólną przeciw Rosji, podważały i wywracały z gruntu fundamentalny dogmat, na którym opierała się polityka niemiecka, zwłaszcza zaś mocarstwowa polityka Prus, w stosunku swoim do Polaków. Gdy każde pomniejszenie narodowej i politycznej siły polskiej uchodziło, w myśl tego dogmatu, za przyrost mocarstwowej potęgi Niemiec, teraz, w postaci Legionów, przychodził zorganizowany zasilek dla tej potęgi nie stamtąd, gdzie polskość, narodowo i politycznie, tłumiona była najsilniej, nie ze strony produktów ucisku i wynarodowienia, germanizacji i rusyfikacji, ale stąd, gdzie względnie najszerszej używała swobody. Sto lat pracował rząd pruski nad złamaniem i ugięciem polskiego karku; nad wytraceniem z duszy polskiej pierwiastków odrębności i dumy narodowej; podawał się w hołdowniczą zależność od Rosji, byle wyjednać u niej sojusz, oparty na wzajemnej poręce ucisku Polaków w obu zaborach. A oto w wielkiej godzinie losowej, która dla Niemiec wybiła wraz z wybuchem wojny, okazać się miało, że nie ów Polak złamany i upokorzony niewolą, ale Polak nieuskromiony i w du-

szy swej niepodległy stać się najcenniejszym sprzymierzeńcem państw środkowych w walce z ich najżarłoczniejszym wrogiem. Ten Polak, który napełniał więzienia pruskie i rosyjskie, ten, który ścigany był przez Bismarka, jeśli zdołał zbiec z pod szubienicy Murawjewa: ten tylko, który umiał śmiertelnie nienawidzić, wypiastował w sobie zarazem tę wielką miłość ojczyzny, która czyniła go zdolnym do przymierza z Niemcami w imię walki śmiertelnej z Rosją. I było to zrozumiałe. Ten tylko, kto czuł w sobie samodzielną, odziedziczoną po praojcach siłę, ten tylko mógł nie lękać się dla Polski przymierza z Prusami, podejmując śmiałą tradycję polityczną Sejmu Wielkiego. Trudne, rzekliśmy, zadanie weszło w osobie Legionów przed Niemcami, może najtrudniejsze z całego szeregu politycznych zagadnień doby wojennej, gdyż sięgało ono aż do rdzenia ustroju w wewnętrznym i zewnętrznym życiu prusko-niemieckim. Legjony stanęły przed Niemcami, jako wezwanie do zlikwidowania wszystkich metod „wyjątkowych“, uprawianych na ziemi polskiej od półwiecza, metod tak głęboko wrosłych w taktykę rządu, iż zdawały się koniecznością państwa. Legjony w pierwszym dniu swych narodzin mówiły Niemcom to, co im powiedzieć miały trzy lata wojny: bez przeobrażenia stosunków politycznych wewnątrz państwa nie może być mowy o wielkiej polityce zewnętrznej; bez demokratyzacji ustroju państwowego, bez oparcia państwa na szerokiej podstawie ludowej, bezowocne będą wszelkie przewagi niemieckiego oręża. Reformy, dotyczące zniesienia ustaw przeciwpolskich, stanęły w Niemczech na porządku dziennym wraz z całą sprawą przemiany wewnętrznej dopiero po trzech latach wojny: z jakże pomniejszonym promieniem działania! Wówczas, przed trzema laty, byłyby one świadectwem siły, składającej dowód bezgranicznej wiary w siebie. Dziś — stają się niemal przedsmakiem kapitulacji, wymuszonej obuchem wypadków.

Gdy Niemcy zbierały na bój z wrogiem swą niezmierną siłę, Legjony Polskie, zgłoszeniem swej krwi na walkę z Rosją, rzuciły im wezwanie, ażeby jednocześnie wydały bój swej słabości. Albowiem tylko pod hasłem przewyciężenia w łonie państwa niemieckiego tej słabości wewnętrznej, która pozory siły hodowała na ucisku obcych narodowości, stawały się Legjony tym, czym być mogły: punktem wyjścia dla rozwoju samodzielnej siły polskiej. Tylko pod hasłem nowej, wolnościowej względem Polaków orientacji, unilknąć mogło to piekielne pytanie, które przez cały pierwszy rok wojny bierność polska żuła nieustannie w ustach, jak zatrute wędzidło: które jarzmo wżarło się głębiej w karki polskie? Niemcy nie skrywali bynajmniej — szczerzy w tym od Rosjan — ciężkości wywieranego ucisku; wskazywali tytko na jego nieskruszalność. Zatrzymali w sile wszystkie ustawy przeciwpolskie; i to była cała ich, udzielona Legionom, odpowiedź, odpowiedź pierwszych dni wojny.

Niemcy, wierne swej ślepotie politycznej, wzięły zaofiarowane przez Legjony przymierze krwi, ale odtrąciły przymierze idei politycznej. Zrachowały ich bagnety, nie spojrzwały w ich serce. A przecież od krwi, którą oddawały Legjony, stokroć cenniejsza była idea, którą niosły. Idea polityczna była istotnym kapitałem, który Polska w posagu wniesić mogła państwom środkowym w ich walce z Rosją, a więc w ich walce z Koalicją. Idea polityczna Legionów, odrazu na właściwy poziom przez Austrię i Niemcy wyniesiona, wylamywała automatycznie z szeregów rosyjskich pół miliona najtęższego żołnierza, oddając go do rozporządzenia pogromcom Rosji: uniemożliwiając Rosjanom obronę Wisły i powodując natychmiastowe ich cofnięcie się za Bug i Niemen, skracała wojnę o rok, skracając zarazem życie caratu o cały ów okres pierwiastkowych jego zwycięstw w Galicji i Prusiech Wschodnich, który dał mu w następstwie możność uporczywego stawiania czoła klęskom, a Koalicji dał zakosztować nęcącego trunku powodzeń. Pierwszy rok zwycięstw rosyjskich w Królestwie Polskim, pogrom Galicji i spustoszenie Prus Wschodnich, to — refleks bezwoli i niepożyteczności politycznej Berlina w stosunku do sprawy polskiej, zmartwychwstającej w tej

szerokiej i międzynarodowej postaci, w jakiej ujmowały ją i stawiały na progu wojny Legjony.

Polityka niemiecka, przekazując wszystkie zadania obrony państwowej orężowi, czekała na złote owoce jego zwycięstw z założonemi rękoma, powtarzając pobożnie złotą zasadę Bismarka, iż wyzwalenie obcych narodów nie jest jej zadaniem, i nie domyslaając się, że złoto tej zasady może okazać się metalem równie wątpliwej próby, jak złoto oczekiwanych zwycięstw. W roku 1914 zapomniał Berlin o tym, co przeczuwano już w 1848, mianowicie, że odbudowanie Polski jest pierwszym warunkiem wybudowania demokratycznych Niemiec; że na zwalenie zgniłego biurokratyzmu Rosji wystarczyć może zdrowszy biurokratyzm pruski; ale demokratycznym państwom zachodu, Francji i Anglii, dotrzymać może kroku tylko wielka demokracja niemiecka. Wyzwolenie Polski uchodziło już wówczas za pierwszy krok do wyzwolenia Niemiec.

Legjony, godząc ostrzem bagnetu w Rosję, podważając swą myślą polityczną gmach caratu, jednocześnie sztandarem ideowym mogły świecić w oczy wszystkim ludom Koalicji, powołane z natury swej wyzwolenczej dążności do odpierania tej wielkiej fali oszczerczej, jaką na morzu opinii wszechludzkiej podniosła przeciw państwom środkowym Ameryka, Francja i Anglia. Przez trup polskiego powstańca, padłego w boju pod sztandarem „za naszą wolność i waszą“, nie przeskoczyłaby tak lekko rewolucyjna piosenka trzeciej Republiki, zdążając na północ, z pokłonem dla cara... Cóż mówić o wpływie tego sztandaru na całą opinię neutralną? Czyż nie byłby on najlepszym dowodem, że w Europie środkowej rodzą się nowe siły? Że Niemcy nie tylko zwyciężają wrogów, ale i przewyżniają siebie?

Wszystko zdawało się przemawiać za tym nie tylko imieniem sprawy polskiej, ale w imię interesu całej Europy środkowej, aby Niemcy tej krwi, którą niesły Legjony, i tej idei, która im towarzyszyła, nadały jak największą powagę, jak najwyżej wzniosły je przed światem. To, co stanowiły one w owej chwili, było zaczątkiem, ale było zaczątkiem dźwigni, która, wsparta o mury Wawelu, wyważała z posad mocarstwowe stanowisko Kremlu.

Na szósty dzień wojny wrogowie państw środkowych liczyli się już, jak wyżej powiedziano, na krocie milionów. Niestety, Niemcy w obliczu tej nawałnicy nie pozbyły się jeszcze drobiazgowej rachuby, że w państwie swoim posiadają 5 proc.—polskiego „niebezpieczeństwa“. Gdy historia narzucała im do rąk ryczałtowe miary olbrzymia, one bawiły się jeszcze w detaliczny handel powiatowych zatargów.

Jakąż siłę moralnego oddziaływania poniósł w głąb kraju rodzinnego żołnierz-legjonista, jakąż siłę moralnego ciosu poniósł przeciw okopom rosyjskim, gdy nie był pewny wartości swego żołnierskiego tornistra: gdy nie wiedział, czy niesie w niej koronę niepodległości, czy—ustawę wywłaszczeniową?

Wszystko zdawało się przemawiać za tym, że Niemcy, w zobopólnym — swoim i naszym interesie podniosą czyn Legjonów do godności i potęgi narodu, który je wydał; że uwydatnią w nich to, co było ich ziarnem politycznym: samorzutność ofiary. Niestety, nie uczyniły Niemcy nic z tego. Uczyniły rzecz wręcz przeciwną: zaofiarowaną krew polską zepchnęły na poziom najemnej falangi: miast podnieść ją na poziom narodu, walczącego o byt samodzielny, rozpoczęły od tego, iż naród zdegradowały do roli podścieliska pod swój tryumfalny, jak mniemały, pochód. W pierwszym roku wojny państwa środkowe tolerowały krew Legjonów, ale nie pozwoliły na rozwinięcie skrzydeł idei legjonowej: brały jednolite zyski, lecz tłumiły kapitał przyszłości. Żołnierz polski, walcząc i ginąc na okopach, miał już zapewnioną dla narodu zemstę i nienawiść wroga; nie mógł tylko ani krwią ani śmiercią kupić dlań szacunku — u sprzymierzeńca.

VI

„Rutyna i surowa siła mają to do siebie, — powiada Fryderyk Meinecke¹⁾ — że obie znają tylko obrab własnej małej osobowości, i — jedna w skutek duchowej gnuśności, druga pod wpływem sztywnej buty — stają się głuche i ślepe na wszystkie inne właściwości świata”.

Niepodobna trafniej wyrazić postawy, jaką Niemcy zajęli wobec Polaków po zdobyciu Warszawy. To wszystko, co charakteryzuje rutynę i nagą surową siłę, to stać się miało charakterystyką rządów niemieckich w Warszawie, która, mimo aktu 5 Listopada, wciąż pozostaje tylko stolicą pruskiego generał-gubernatorstwa i węzłem administracji okupacyjnej. Fakt zajęcia Warszawy przez armję niemiecką stał się symbolem i wyrazem przejęcia inicjatywy w rozwoju sprawy polskiej z rąk Wiednia w ręce Berlina: wraz z Warszawą przypadła Niemcom w udziale przeważająca odpowiedzialność za te dwa brzemienne lata dziejów, jakie od 5 Sierpnia do chwili obecnej upłynęły na wschodnim teatrze wojny i — polityki. Austro-Węgry w ciągu tych dwu lat na układ polityczny w Polsce wywierać miały wpływ już tylko perturbacyjny, uboczny, hamujący: siłę rozpędową miały nadać Niemcy.

Dla żołnierza niemieckiego, który po rocznym krwawym znoju stanął w Warszawie, który mogiłami swych towarzyszy usiał olbrzymie równiny od Bałtyku po Karpaty, nie mogło być wątpliwości, z jakich źródeł owa siła rozpędowa ma powstać i na jakim wyładować się polu: żołnierz, który na własnym karku wypróbował twardość i niezliczoną wroga, ląkał pomocy. Ta pomoc tkwiła potencjalnie w historycznym antagonizmie Polski z Rosją. Zadanie polityki niemieckiej sprowadzało się do tego, aby tę siłę potencjalną wyzwoić w realnym państwowym czynie wojny Polski z Rosją. Zadanie to nastroczało się tym pilniej, że zapas sojuszów dla mocarstw środkowych, wraz z przystąpieniem do ich obozu Turcji i Bułgarji, został doszczętnie wyczerpany, gdy tymczasem Koalicja rzucała przeciw nim coraz nowych zapaśników. Jakże pomyślną dla Niemiec mogło być stać się okolicznością, że to, co w duszy ich żołnierza zrodziło się, jako odczucie potrzeby, w duszy polskiej żyło, jako gotowość podaży! Przesłanki dla wojskowo-politycznej wspólności, wyrastając z przedmiotowego gruntu historii, znajdowały swój wyraz w żywej psychologii ludzkiej. Niemcy nie potrzebowali o pomoc i udział Polaków w wojnie przeciw Rosji zabiegać: krew polska wyszła na ich spotkanie w postaci Legionów. Antagonizmu Polski z Rosją nie trzeba było reżyserować i uwydatniać środkami sztuki dyplomatycznej: leżał on na powierzchni ziemi, jako naturalne świadectwo w postaci zgłiszcz i popiołów, dymiących wspomnieniami moskiewskiej gospodarki; leżał w głębi dusz wspomnieniami trzech powstań polskich. By osiągnąć najwyższy efekt polityczny, wystarczało zastosować minimum przymusu zewnętrznego. Wystarczało pozwolić grać — tendencjom historycznym, jakie podświadomie tkwiły we wszystkich rdzennych żywiołach polskiego narodu, a świadomie ujawniły się w jego Legionach.

Rutyna i butna surowa siła, otrąbiwszy swe zwycięstwo w Warszawie, nie rozumiała jednak tego, co czuł już żołnierz niemiecki, i co rozumiała polska racja stanu, wyrażająca się w ideologii Legionów. Jeżeli gdziekolwiek próżnia i bezplanowość polityczna Niemiec miała zaciążyć swą fatalną wagą nad polem ich militarnego zwycięstwa i zniweczyć posiew ich krwi, to stało się to, przede wszystkim, w Polsce. Tu, nad tryumfem ich broni, miała swój największy tryumf święcić ich niemoc polityczna. Tu własnymi rękoma grzebać mieli

¹⁾ P. „Probleme des Weltkrieges,” str. 8.

dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, swoje zwycięstwa. Tu urzędnik pruski miał w ziemię wdeptać krew niemieckiego żołnierza.

Legjonom Polskim zamknięto drogę do serca Polski: opuszczonej przez Rosjan Warszawie dano poznać, że polityka niemiecka nie sumuje się z ideowym wysiłkiem Legjonów, ale go wyłącza. Ten sam kult nagiej i ślepej siły, który wagę Niemiec na polu międzynarodowym sprowadzał do wagi ich oręża, kazał Niemcom widzieć w Legjonach tylko ułamek austro-węgierskiego landszturmu: wszystko, co ponad mundur landszturmisty wyrsało, było niedostrzegane lub tłumione. Gdy u bram Zamku Królewskiego w Warszawie straż zaciągały wojska pruskie, Legjony, cofnięte od progów stolicy, skazano na zimowe leże w błotach pińskich i borach Wołynia. Powierzając żołnierzowi polskiemu obronę małego odcinka na froncie, uczczono w nim siłę militarną, ale zlekceważono całkiem jego wydajność polityczną. Czymże bowiem były podówczas Legjony na froncie rosyjskim? Były dziesięcioma tysiącami karabinów i—niczym więcej: przeciwwagą wojskową takiejże siły wojskowej nieprzyjaciela. W Warszawie, natomiast, stawały się potęgą zdolną podważyć potęgę caratu. A przytym krwią własną zdobyły one prawo do Warszawy. I Warszawa miała do nich prawo. Wszak jej ubóstwo polityczne i niemoc w znoszeniu jarzma rosyjskiego wynikała, poniekąd, z oddania do Legjonów kwiatu swej myśli i kwiatu swej krwi. Niemcy, nie dopuszczając Legjonów do udziału w oswobodzeniu Warszawy, nie dopuszczając ich i potem do Warszawy już oswobodzonej, okradły ją z jej najlepszych synów, w chwili gdy kradzież ta równała się zdeptaniu najczystszych, najszczytniejszych w jej duszy pierwiastków. Polityka niemiecka, by usprawiedliwić w następstwie swój fatalny błąd, wskazywała na rosyjską orientację Warszawy, która, rzekomo, przeciwstawiała się Legjonom oraz ich ideologii. W świetle tej interpretacji drogę do serca Polski torować musiał żołnierzowi polskiemu — biurokrata pruski! Interpretacja ta pobija samą siebie. Świadczy ona tylko o tym, że Niemcy w końcu same błąd swój wyznały, sprowadzając, po półtorarocznych wahaniach, Legjony do Warszawy, w d. 1 Grudnia 1916 roku, i przekazując je następnie Tymczasowej Radzie Stanu w opiekę, a generał-gubernatorowi warszawskiemu we władzę. Niestety, Legjony, które wkraczały przez tryumfalną bramę do Warszawy w d. 1 Grudnia, nie były już tymi Legjonami, które od bram Warszawy odepchnięto dnia 5 Sierpnia. Wówczas, w pamiętną noc sierpniową, pułki polskie, wkraczając na karkach Moskali do stolicy, byłyby porywem samorządnej woli polskiej, znajdującej ujście i wyzwolenie w wojnie z Rosją: byłyby czynem politycznym. Warszawa, witając ich, jak zbawców, padłaby im, być może, do nóg, jako pokutnica. Ale, powstawszy po chwili, wstałaby — królową, władną nakazywać sobie posłuch. W dniu 1 Grudnia Legjony wchodziły do Warszawy nie z impetem polskiej krwi, ale z przepustką generał-gubernatorstwa: były dekoracją polityczną na tle udekorowanego miasta.

Kto zna choć odrobinę charakter narodowy Polaków, kto patrzył w duszę polskiego narodu, ten wie, jak wielkim obszarem wyjałowienia pomściła się na układzie polsko-niemieckich stosunków ta jedna opóźniona godzina. Polak nie umie zdążyć do celu mrówczym krokiem: do wyżyn wielkości wznosi się w jednym porywie górnego przeżycia. Najstromsze przeszkody w sobie i poza sobą łamie szturmem zapału. Wszakżeż to—w dziejach Polski i w dziejach Warszawy—zostanie na zawsze Józef ks. Poniatowski symbolem tych utajonych w naturze polskiej żywiołów, które z ulubieńca salonów uczyniły go, w jednej potężnej chwili, meteorem napoleońskich pobojuwisk. Lecz Napoleon, wstąpiwszy na ziemię polską, wezwał Polaków pod sztandary bohaterstwa, wołając: „Pokażcie, iż godni jesteście być narodem!“. Niemcy, zajmawszy Warszawę, po rocznym zwlekaniu, wyjałowiwszy w Legjonach szkołę bohaterstwa, założyć mieli dla Polaków — szkoły urzędników, jak gdyby dogadując tym owej odmianie słabości polskiej, która kwapiła się budować państwo nie na pobojuwiskach, ale w biurach i gabinetach, za stołem urzędniczym.

VII

Sojusz Polski z mocarstwami środkowymi, dochodząc do skutku w imię wspólności interesów militarnych i politycznych, sojusz uświęcony krwią Legionów i przez nią reprezentowany, kładł na szali wojennej tychże mocarstw wagę 20-miljonowego narodu w ich krwawych zapasach z Koalicją.

W jesieni roku 1915 cały niemal obszar ziem polskich zjednoczył się w rękę państw środkowych: sprawa polska, dzięki ich zwycięskiemu orężowi, wypłynęła w całej pełni na forum międzynarodowe, jako naczelne w owej chwili zagadnienie polityki europejskiej. Na terenie sprawy polskiej otwierało się przed Niemcami pole walnej rozprawy z Koalicją. Mając w rękę Warszawę i Wilno, mając zaczyn aktywizmu polskiego w Legionach i w tych kołach politycznych, które ruch zbrojny przeciw Rosji popierały, Niemcy posiadały wszystkie czynniki, potrzebne do pchnięcia sprawy polskiej w kierunku pomyślnego rozwiązania.

Lecz jakże jać się tego rozwiązania miały organy pruskiej administracji, które na ziemię zaboru rosyjskiego wkroczyły z doskonałym aparatem policyjnym, ale bez żadnej politycznej myśli? Królestwo Polskie, przetrznęte linią demarkacyjną dwu okupacji, zostało, na domiar, wewnątrz każdej okupacji pocięte na drobne, nieruchome i skrupowane w sobie, zaścianki, w których obok władz wojskowych sprawował niepodzielną władzę cywilną landrat pruski. Aby ułatwić między zaściankami obieg myśli biurokratycznej, wstrzymano w drodze pochod myśli dziejowej. Cały układ życia publicznego podporządkowano wymaganiom techniki policyjnej. Jak w dziedzinie przemysłu nie wahano się demontować całej fabryki dla zdobycia paru funtów miedzi, tak w dziedzinie życia publicznego nie wahano się zabijać całych obszarów inicjatywy i organizacji polskiej dla zadośćuczynienia nałogom i wygodom cywilnego lub wojskowego urzędu. Nad metodami produkcji, zarówno w życiu publiczno-narodowym, jak w gospodarczo-przemysłowym, brały górę metody wyzysku, bezpośredniego użycia i spożycia. Patrząc na pierwszy rok rządów niemieckich w Warszawie, trudno oprzeć się było wrażeniu, że Niemcy po to tylko zdobyli miasto, aby zastąpić w nim—Moskali: z takim zapalem i zacierzwieniem obejmowali stanowiska po wyrugowanych zaborcach, jak gdyby to było sensem podjętej przez nich wojny. Razem z posadami objęli też zwolna po Moskalach—i nałogi. Przedewszystkiem—pieczę nad „orientacją rosyjską“ którą z pod zgliszcz i popiołów, któremi odwrót armji rosyjskiej pokrył ziemię polską, gorliwie jęli odratowywać i — odratowaną pielęgnować. W uczuciach, dochowujących wierności rozbitemu caratowi, urzędnik pruski dostrzegł i wyróżnił niewolniczą uległość dla władzy, którą tymczasowo poczytywał za prawowitą władzę Polaków, zwąc ich nadal rosyjskimi poddanymi. Podobała mu się ta w poddanych pokora znieprawionego niewolą karku: przeczuwał w niej łakomą i podatną zdobycz aneksji. Patrzał na nią okiem rozczulonego biurokraty, który posiada wejrzenie dość szerokie, by odczuć i zrozumieć produkt wszelkiej biurokracji. Tę „szerokość“ wejrzenia mianował — liberalizmem. A więc liberalizmem było w pierwszym roku okupacji niemieckiej w Warszawie oparcie się jej na puściźnie rosyjskiego zaboru: ochranianie bierności polskiej i straż nad wynikami rozkładu. Walcząc z Rosją na okopach strzeleckich, Niemcy zazdrośnie strzegli mocarstwowego jej prestige'u w obrębie swej okupacji. Ta sama pruska tradycja, oparta na kulcie zwierzchności i deptaniu praw indywidualnych i narodowych człowieka, która Polakom, wziętym do niewoli niemieckiej, narzucała w obozie jeńców obchody galowych dni rosyjskich, kazała Niemcom w Warszawie tłumić wszelkie objawy patryjotyzmu polskiego, tłumić nawet wówczas, gdy niepodzielnie zwracały się one ostrzem politycznym przeciw Rosji.

Uczuciowa słabość dla Rosji oczom pruskich okupantów ukazywała się, jako żywy dowód celowości i skuteczności ucisku narodowościowego; usprawiedliwiała przykładem swoim metody podobnego ucisku, stosowane w Prusiech, mianowicie, rojąc im nadzieje równego powodzenia. Że zwolennicy jarzma rosyjskiego, w mniej lub więcej złagodzonej jego postaci, z tą samą uległością, co zabór rosyjski, powitają i przyjmą zabór wszelki, umiejący wykazać się siłą dostateczną, to dla urzędnika pruskiego nie pozostawiało żadnej wątpliwości. Wszak powolność dla sympatji rosyjskich, w zasadzie swej, była ze strony żywiołu niemieckiego niczym innym, jak tylko drobnomieszczańskim przywilejem dla tej postaci nikczemnego rozsądku, który nakazuje wiązać się z silniejszym. Gdy Moskwa runie, jako mocarstwo, pod ciosami niemieckich haubic, wówczas—rozumowali pruscy mężowie stanu, rozsiani po wsiach i miastach Polski—sympatycy Rosji upadną sami przez się, jak owoc dojrzały, na biesiadny stół zwycięzcy. Z tylu stron pożądana, pod tylu względami cenna, posiadała orientacja rosyjska w oczach urzędniczego prusactwa zaletę jeszcze jedną, najważniejszą: wydawała się absolutnie niegroźna. Mimo swego ciężenia ku państwu, które było z państwem niemieckim w śmiertelnej walce, moskalofile nie zawierali w sobie ani żdźbła niebezpieczeństwa dla zdobywców pruskich, albowiem carat rosyjski, będąc knutem, wzniesionym nad całą Polską, zwracał się jednako wrogi, jednako nieubłagany, przeciw wszystkim odłamom narodu: kto tedy w Polsce służył caratowi, służył mu bezinteresownie. Istnienie caratu było, w oczach pruskich, rękojmią nieszkodliwości, niewinności politycznej moskalofilstwa w Polsce. Gdyby, słowem, moskalofilstwa w Polsce nie było, toby je należało wymyślić: oto zasada rozumowania i rządzenia się biurokracji pruskiej w kraju okupowanym. Zasada ta tkwiła w cenzurze prasowej, promieniowała z urzędów administracji, szerzyła się po kraju wraz z posterunkami władzy niemieckiej i myśli niemieckiej.

Od pieczy nad żywiołami bierności w Polsce krok jeden tylko zostawał do prześladowania żywiołów walki czynnej z Rosją: i tego kroku Niemcy nie zawahali się zrobić. Tu otwiera się w dziejach niemieckiej okupacji w Polsce karta, którą historyk przyszły niemiecki, zarówno jak przyszły historyk polski, czytając, krwawemi będzie rosił łzami. Nie poprzestając na dziedziczeniu po Moskalach narzędzi władz, okupanci niemieccy sięgnęli po ich narzędzia ucisku: w ranach, wyżartych przez łańcuchy moskiewskie, osadzili swe posterunki i wedety, wypatrujące na ciele i na duszy polskiej miejsc najslabszej odporności. Kto chciał pracować na rzecz polsko-niemieckiego przymierza, ten musiał się kryć przed okiem okupantów, jako niebezpieczny szkodnik. Kto chciał iść walczyć na froncie wspólnej z Niemcami walki przeciw Rosji, ten przekradać się musiał tajemnie przez kordony okupacyjne. Kto naród swój budził do czynu słowem i przykładem własnym, temu cenzura okupacyjna nakładała knebel na usta, tego policja porywała do obozu jeńców. Jeszcze w Maju 1916 roku twarde kary ścięły tych, krórczy krew swą nieśli pod rozkazy niemieckich generałów. Publicystyka niemiecka, potracając o sprawy polskie i widząc na ich terenie zastój polityczny, ma tylko jedno na ustach słowo: niewdzięczność! Niewdzięczność za wielkie dary! Niewdzięczność, wyrażająca się w stawianiu coraz wyższych żądań, coraz dalej idących uroszczeń, niewdzięczność rzekomo głucha na dobrodziejstwa. Wszelako ci, którzy dziś zbyt wygórowane zarzucają nam żądania, nie pomną, że nasze żądania najskromniejsze zostały odrzucone, gdy szły nie w ordynku niemieckich rygorów, ale w postaci polskiej samorządnej ofiary. To, co uchodziło za domaganie się od państw środkowych gwarancji, było, po stronie polskiej, tylko żądaniem, aby nasze siły podczas wojny także brano w rachubę; aby i nam otwarto drogę samodzielnego czynu. Z jak pełną miarą wdzięczności i nadziei szli Polacy pod sztandar przymierza z państwami środkowemi, świadczy fakt, że jeszcze rok temu przebywali w więzieniach niemieckich ludzie, utratą wolności karani za chęć walczenia o nią na froncie wschodnim przeciw Rosji, ludzie, którzy dopominali się,

jak o wyzwolenie, o jedyne dobrodziejstwo śmierci w boju z grożącą powrotem nawałą rosyjską: tak skromne było ich żądanie, tak hojna miara dla dobrodziejstw niemieckich.

Nie wszyscy w Polsce byli tego zdania? Tak, istotnie. Wyznawcy idei walki z Rosją o byt państwa polskiego, walki opartej o przymierze z mocarstwami środkowemi, stanowili w Polsce mniejszość. Ale ta mniejszość niosła w sobie serce całego narodu, bo ona jedna wiarę swą stwierdzała czynem na polu walki. Ten w społeczeństwie kierunek bywa rozstrzygający, który się krwią swych wyznawców pieczętuje. Ten w Polsce obóz był obozem narodowym, który się zdobył na ofiary z mienia i życia swych synów: ten był i pozostał obozem przyszłości. Że Niemcy, zastawszy w Warszawie, w dniu 5 Sierpnia, niemoc polityczną, będącą odbiciem dnia wczorajszego, uznali stan tej niemocy za jedyną polską rzeczywistość, że przymierze z Polską próbowali oprzeć na żywiołach jej niewolniczości, nie zaś na żywiołach jej odrodzenia i aktywizmu, to było formą, w jakiej na losie Niemiec pomściła się ich polityka wewnętrzna, która u siebie w kraju opierała się również na pierwiastkach i czynnikach dnia wczorajszego.

Rozwój zdarzeń wojennych miał doprowadzić mocarstwa środkowe do proklamowania państwa polskiego: ale polityka niemiecka czyniła wszystko, by sparaliżować w Polsce siły państwowotwórcze.

Wojna z Rosją miała być stać się siłą rozpędową w budowaniu państwa polskiego, w zgodnym ujęciu zarówno polskich, jak niemieckich założeń: atoli polityka niemiecka czyniła wszystko, by tę siłę rozpędową uspić i zniweczyć.

Że przeciwdziałanie polskim prądom państwowotwórczym ma swe siedlisko nie tylko w biurach administracji lokalnej, ale i w bardzo wysokich ośrodkach kierownictwa politycznego Rzeszy, świadczy cały stosunek Niemiec do Litwy i t. zw. krajów zabranych. Od pierwszego dnia wyjarzmienia tych krajów z pod władztwa rosyjskiego było rzeczą jasną, że linja Warszawa — Wilno przeznaczona jest na najgłówniejszą tętnicę ruchu państwowotwórczego w powracającej do życia Polsce: tędy pójść miał pierwszy odruch żywego organizmu, pierwsza fala krwi od obudzonego serca. Ażiści okupanci rozpoczęli od radykalnego przecięcia mieczem tej aorty polskiego życia państwowego. Wilno zostało murem przedzielone od Warszawy. Na Litwie i Białorusi położono rodzaj polityczno-wojskowego sekwestru, który w skutkach okazał się o wiele bardziej krępujący od zaboru rosyjskiego. Dla kogo rezerwowano te ziemie? Czy dla Wszech Niemców pod upręgę nowej Komisji Kolonizacyjnej! Czy dla Rosji, jako nagrodę za chimere odrębnego pokoju? To pewna, że w Litwie, nawet w tych powiatach, gdzie polskość jest żywiołem przeważającym bądź liczebnie, bądź kulturalnie, rezerwowano — grób Polsce.

Ale czyż, jednocześnie z tym grzebaniem polskości na wschodzie, nie grzebano idei wojny z Rosją, która dla Polski miała jedynie sens walki o swobodę Litwy i Białorusi, o wyzwolenie tych krajów z pod niwelującego kulturalnie i narodowościowo ucisku Rosji?

Przez odcięcie Wilna od Warszawy, odcięto nas od pola naszej walki z Rosją: zrabowano nam z góry pobojuwisko, na którym spór nasz z Rosją miał się rozstrzygać. Antagonizm polsko-rosyjski polityka niemiecka przysłoniła antagonizmem polsko-pruskim. W czyim interesie? Jeśli chodziło o niedopuszczenie do wojny polsko-rosyjskiej, przyjaciele Moskwy nie mogli dać Niemcom lepszej rady, niż zabór Wilna; jeśli zaś Niemcy szukali sankcji dla swej zaborczej polityki na Litwie i Białorusi, to w Polsce nie mogli jej znaleźć nigdzie poza przyjaciółmi Moskwy. Gdy rozlepione na ulicach Warszawy plakaty niemieckie wzywały ochotnika polskiego do szeregów organizowanej przez Niemcy armji polskiej na wojnę z Rosją, Polak, czując stopę okupacji na swej piersi, obejrzawszy się na zachód — ku Poznaniowi, widział zabór pruski, i obejrzawszy się na wschód — ku Wilnu, dostrzec mógł również tylko zabór

pruski: żywioł niemiecki, łącząc go z obu stron, wydawał się rodzajem kleszczy śmiertelnych, którym wystarczało się powoli zamykać, aby uwięzioną pośrodku Polskę pozbawić tchu i—życia. Nie było to rozumowanie ze strony polskiej uzasadnione. Był to raczej odruch uczuciowy. Aktywizm polski rozumiał, że stworzenie armji polskiej i udział tejże w boju zapewni nam siłę moralną i polityczną, dostatecznie wielką dla rzucenia ważkiego słowa, obok słowa samejże Litwy i Białorusi, na szalę jej przyszłych losów. Wszelako, jednocześnie rozumiał on także, iż nie każdy śród mas szerokiego ogółu zdolny bywa uwierzyć w cel taki, którego oczyma własnymi nie ogląda: faktem zaś jest, że polityka niemiecka, zabijając deskami Wilno, cel wojny naszej z Rosją uczyniła dla ogółu niewidzialnym.

Gdy przyszedł akt 5-go Listopada, proklamujący niepodległość Polski, w kilka zaś tygodni potym akt konstytucyjny, powołujący do życia Tymczasową Radę Stanu, jako widomy symbol wskrzeszonego państwa, na całym obszarze życia polskiego nagromadziło się już tak wiele ujemnych planów gospodarki okupacyjnej, że same hasła nie wystarczały. Chwila wołała już o bardziej ważki kruszec, niż ten, jaki zawiera się w słowach, choćby najszczytniejszych. Chwila wołała o czyn.

Hasła niepodległości, hasła armji polskiej i własnego rządu wystarczały najzupełniej w Sierpniu roku 1915, gdy kraj był tylko polem fermentującej politycznie energii. Wówczas sztandar legjonisty i biały orzeł na Zamku Królewskim byłyby dostateczne dla wzniesienia fali wielkiego przełomu. W Listopadzie, natomiast, roku 1916 kraj cały leżał już spętany w sieciach administracji okupacyjnej. Słowo, choćby słowo najuroczystsze, nie docierając do istoty życia polskiego, roztrącało się o drzwi i progi urzędów okupacyjnych. Aby sytuację polityczną ruszyć z posad, na jakich zamarła, musiało się coś zmienić w istotnym układzie stosunków polsko-niemieckich w Polsce. Zrazu, ze strony polskiej, zmiany takiej oczekiwano. Wprędce jednak wszelkie oczekiwania zawiodły. Wszystko w kraju zostało po dawnemu. Państwo polskie, proklamowane dnia 5 Listopada, toczyło się w rzeczywistości nadal po szynach biurokracji obcej: było, właściwie, pruskim klasycznym państwem politycznym—z polską ludnością. Tego zawodu nie rozproszyła T. Rada Stanu. Przeciwnie, podniosła zobopólne poczucie rozbieżności poglądów do stopnia, stawiającego pod znakiem zapytania samą ideę przymierza Polski z mocarstwami środkowymi. Gdy Polska pojęła akt 5-go Listopada, jako otwarcie pola dla samoorganizowania się państwowego polskiego narodu, a T. Radę Stanu zużyć próbowała, jako organ tegoż organizowania, stanowisko Niemiec wcale nie wyłączało po stronie polskiej wątpliwości, że zarówno proklamowanie państwa polskiego, jak próby jego realizacji, są przedewszystkiem postacią uzależnienia żywiołu polskiego od okupantów i raczej dążą do podporządkowania interesów jego interesom niemieckim, niż do ich pojednania na platformie zgodnego wysiłku dokoła wspólnej pracy dziejowej.

W T. Radzie Stanu ogół polski powitał naczelny urząd państwa polskiego, jako pierwszy, po wielu latach, rząd narodowy. Rychło atoli miało się okazać, że to, co było powitane, jako organ woli polskiej, jest tylko punktem wyjścia dla wzmożonej ingerencji władz okupacyjnych w łonie społeczeństwa polskiego. Stąd ów przewlekły i bolesny kryzys, któremu nie będzie końca dotąd, póki państwa okupacyjne posuwać będą sprawę polską naprzód w drodze ustępstw administracyjnych, powołujących do życia nowe urzędy biurokracji, nie zaś w drodze politycznych zasadniczych decyzji, powołujących naród polski do udziału w stanowieniu o swym losie. Co gorsza, ustawiczne przeszkody, jakie inicjatywa polska ze strony władz okupacyjnych napotyka na drodze realizowania aktu Listopadowego, przy jednoczesnych próbach zawarcia przez Niemcy odrębnego pokoju z Rosją, rodziły w Polakach obawę i podejrzenie, że ów akt historyczny jest tylko fantem w rękach dyplomacji niemieck-

kiej, że proklamowanie niepodległości polskiej było tylko podbiciem ceny sprzedaży naszego narodu na rynku międzynarodowych przetargów.

VIII

Ustępstwa ze strony władz okupacyjnych, choćby istotne i cenne, są próbą oparcia się w kraju okupowanym nie na jego sile i żywotności, ale na jego żywiołach słabych, chwiejnych, wyczekujących. Jednocześnie zaś brane są za objaw słabości przez tych, których usiłują zjednać. Ustępstwa w polityce bywają tą najmizerniejszą postacią dobrodziejstwa, które, upokarzając obdarowanego, nie podnosi przecież uroku dobrodzieja. Wymiana dwu systemów obłudy na płaszczyźnie szczepionego sobie wzajem paraliżu: oto idea, która przewodniczyła narodzinom T. Rady Stanu i która marszałkowała przez pół roku jej protokołowanej anemji. Niemcy, podając rękę tym, którzy nie umieją stać na własnych nogach, dowiedli raz jeszcze, iż wyżej cenią posłuszeństwo Polaków, niż ich pomoc. Nieumiejętność atoli stania i chodzenia o własnej sile może w ludziach być zaletą cenną tylko dotąd, póki nie zajdzie potrzeba, aby ludzie ci powstali i szli na zagrożone placówki: wtenczas ich pierworodna cnota staje się pierworodnym grzechem. Wtenczas też na jaw występuje kontrast między wygodą urzędnika, który hoduje w społeczeństwie bierność, a interesem męża stanu, który zna wagę żywej w społeczeństwie siły.

Gdy na straży pustej skrzyni postawi się 25 ludzi, to przez to owa skrzynia nie stanie się jeszcze skarbcem koronnym, chociażby ją odmykał i zamykał marszałek koronny. Taką skrzynią pustą była od początku T. Rada Stanu. Ogłoszono wprawdzie, że w jej wnętrzu przechowywa się akt 5 Listopada; lecz samo przypuszczenie, że akt proklamacji państwa polskiego jest czymś, co złożone zostało na przechowanie, brzmiało, jako negacja wszelkiej tego aktu owocności. Wcieleniem wielkiej myśli aktu Listopadowego powinno było stać się nie 25 notabłów, powołanych do noszenia parawanu ponad administracją niemiecką, ale każde polskie serce, każdy warsztat polskiej pracy. Czyż można było wymyślić jaskrawszą antytezę pojęcia niepodległości, niż ten połowiczny urząd, który, mianując się w kraju Polskim Urzędem Najwyższym, nie miał prawa zabrać głosu publicznie bez aprobaty drugorzędnych organów okupacji? Temu urzędowi, któremu Polska gotowa była oddać władzę szafarza swojej krwi, państwa okupacyjne poskapiły nawet władzy wolnego słowa. Czyż ten pierwszy, jawny, wskrzeszony po stu latach rząd polski nie miał nic do powiedzenia swemu narodowi ponad głowami komisarzy okupacyjnych? Po stu latach milczenia, nie miał do powiedzenia nic własnego ani Europie, ani wczorajszej ciemniznicy — Rosji? Naród polski, przez usta swego rządu zabierający głos w Europie, a przytym mający na poparcie swego głosu — w trzecim roku wojny! — miljonową rezerwę żołnierza w pierwszorzędnym materiale ludzkim, mógłby Niemcom być oddać niejedną usługę cenną zarówno w polityce, jak w dyplomacji, pod warunkiem wszakże, iżby przemawiał istotnie głosem własnym, samodzielnym. Lecz Niemcy położyli knebel na usta T. Rady Stanu, zatamowawszy jej dostęp swobodny nawet do rodzimej prasy. Położyli jej knebel cenzury policyjnej na usta, nie wahając się podciąć podstaw jej międzynarodowego stanowiska, byle nie dopuścić do możliwości zdemaskowania przez nią jednego choćby nadużycia w urzędach okupacji. Prawa korony polskiej, uosobione w T. Radzie Stanu, sięgały tak daleko, jak szeroko rozpościerała się tolerancja powiatowego kreisscheffa. Gdy za stołem T. Rady Stanu kwitły rozprawy na temat prerogatyw przyszłego monarchy, u dołu, po wsiach, kwitły w kraju nieograniczone prerogatywy żandarmów pruskich, wywierających zemstę na chłopie częstokroć za to, że, odzierając go ze skóry, nie mogli wydrzeć mu języka.

Ta fałszywa postawa T. Rady Stanu odbić się musiała szeregiem następstw zgubnych zarówno dla ludności Królestwa Polskiego, jak dla niej samej, dodając do wszystkich ciężarów wojny najstraszniejszy dla znękanego kraju ciężar zawodu.

Ludność polska, przedewszystkim zaś ludność Warszawy, w pierwszym już dniu okupacji, czytając obwieszczenia niemieckie, zdobiące rogi wszystkich ulic, niezmiernie przykro i szorstko zaskoczona została treścią zawartych w nich zarządzeń. Zarządzenia te, chciwą dłoń wyciągając po resztki niedołupionego i niedopalonego przez Moskali mienia, nie dając szerokim warstwom ani jednego momentu ulgi, owszem, puszczając w ruch aparat rekwizycji niemieckiej tam, gdzie dogasał ślad pogorzeli moskiewskiej, obudziły w tych warstwach wrażenie, iż gospodarka niemiecka w kraju jest dalszym ciągiem niszczytelstwa. Na zgłiszczach chłopskiej sadyby zbójstwo dawnego zaborcy spotykało się w oczach zrozpaczonego właściciela z bezwzględny systemem zaborcy nowego, który nie pytał, ile w piersi ludu zostało ku Moskałom nienawiści, ile przeciwko nim zemsty, tylko — ile w komorach ziarna i surowców. Tak, niepostrzeżenie, wbrew pierwotnym popędom, chłop, widząc co się dzieje, rozgrzeszał w duszy bandę podpalaczy, nie bez ulgi westchnawszy, że Niemiec przynajmniej tego nie weźmie, co Kozak spalił. Zatomowawszy wszystkie ujścia energii narodowej, okupanci postanowili w kraju otworzyć przed sobą wszystkie śpichlerze dobytku i opanować wszelkie zasoby materialne, sięgające ponad najniższą stopę ludzkiego *Existenzminimum*. W pewnej chwili nie wahano się rekwirować żywej siły ludzkiej, urządzając po wsiach i miastach obławy myśliwskie na robotników, pędzonych potem, jak trzoda niewolnicza, do kopalń i fabryk niemieckich. Mnożąc przymusy i gwałty, piętrząc niezliczone kary za niezrozumiałe przestępstwa, okupanci darli z ludności aż do krwi to, na czym krajowi, po strasznym niszczytelstwie Rosjan, dotkliwie zbywało, a pomijali niedbale to, czego było w kraju poddostatkiem: elementy siły wybuchowej na walkę przeciw caratowi.

Ten stan rzeczy był stanem bardzo przykrym i dokuczliwym, ale dopiero z chwilą powstania T. Rady Stanu stał się wręcz nieznośny. I nie dziwnego! Ów Urząd Najwyższy, rzucając na wszelkie w kraju zjawiska światło niepodległości, do wszystkich przykładając miarę zasadniczych praw obywatelskich, wydobył też na jaw wszystkie kontrasty, nie mogąc jednocześnie przewyciężyć ani jednego. T. Rada Stanu, mając stać się w życzeniu okupantów płaszczem dla armji obcych urzędników, stała się w rzeczywistości białym ekranem, na którym z rażącą ostrością, na oczach kraju, poczęły się odcinać wszystkie ciemne strony rządów okupacji. Tak nieszczerłość niemiecka o własną potknęła się krótkowzroczność. Lecz to, co było karą okupantów, stać się musiało tragedją T. Rady Stanu: wysunięta na czoło urzędowej opinji, jako pionierka polskiego legalizmu, zmuszona była ona raz po raz oczy przymykać, gdy władze okupacyjne z jej biur, nieledwie z jej foteli, porywały do więzienia ludzi, zaszczyconych jej zaufaniem. Nie mając w sobie dość siły, aby zdobyć się na męski odpór, zdobywała się ona zaledwo na to, czym rozporządza kobieta: troską filantropji łagodziła skazańcom ich los więzienny, nie mając już ani żdźbła troski i pamięci dla tego stuletniego więźnia, jakim dotąd był naród polski. Narodowi swemu z wyżyn swej bezradności miała do wskazania to tylko wyjście, jakie się wskazuje tropionej zwierzynie: będziesz bezpieczny, o ile zostaniesz niepostrzeżony. To przyczyniło się do wpędzenia życia politycznego naszego kraju z powrotem w podziemia konspiracji, zanim na dobre zdążyło ono z ich mroku wyłonić się na zasadzie aktu Listopadowego. W ten sposób, w okresie powszechnej politycznej i wojskowej mobilizacji świata, gdy kraj każdy uruchamia do samego dna zasoby swego posiadania, przekuwając energję utajoną na żywą siłę czynu, gdy kraj każdy widzi swój interes w tym, aby manifestować takie nawet siły, których zgółta nie posiada, Polska jedna skutek tej chwiejności kryć się musiała nawet z tym, co posiada, hołdując tej samej w gruncie dyplomacji, którą się

posługiwał chłop w stosunkach z administracją: gdy chłop na dole krył się ze swym kornem ziemniaków, T. Rada Stanu u góry kryła się z Polską Organizacją Wojskową, kryła się z rzeczywistymi dążnościami kraju, kryła się ze swymi politycznymi powinowactwami, kurcząc siebie w każdym kroku, ażeby tym skurczyć polską rzeczywistość. Wierzyła, iż kraj oszczędzi sobie ciosów przez to, iż wyda się mniejszy. Odcinając ze swych dążeń jeden atrybut państwowy za drugim, by w końcu poprzestać wyłącznie na organizacji szkół i sądownictwa, rozumowała ona tak, jak szalony lekarz, który, aby pomniejszyć cierpienia chorego, pomniejsza go o nogę lub rękę. Dzięki temu o T. Radzie Stanu powie kiedyś historia, że nie było w Polsce polityki bardziej oszczędnej i zarazem bardziej rujnującej, niż jej półroczne rządy.

Jeszcze fatalniej, niż na ludności kraju, odbiła się wszakże fałszywa pozycja T. Rady Stanu na jej własnym składzie.

Postawiona wobec zorganizowanego aparatu rządów okupacyjnych, niby wobec szczelnego muru, którego ani obejść ani pokonać nie mogła, i w który nie udawało się jej, mimo wielokrotnych usiłowań, wbić ani jednego haka własnej inicjatywy, lub choćby tylko interwencji, T. Rada Stanu uległa fantastycznemu urojeniu, że cała dziedzina państwowości polskiej leży poza tym murem w postaci gotowej i dojrzałej rzeczywistości; wystarcza tedy, aby się ten mur usunął, a Polska Niepodległa natychmiast, w krew i ciało obleczone, ukaże się w całym majestacie potęgi! Miast rachuby i taktyki politycznej w T. Radzie Stanu ujęła laskę marszałkowską polityczna mitologia. Polityczna mitologia zasiadła w jej departamentach, w których jedynymi istotami żywymi były zegary, mierzące bezpowrotnie tracone godziny. Królestwo Polskie zdobyte zostało przez mocarstwa środkowe na Rosji: cóż tedy nam zostaje do zrobienia? — pytała T. Rada Stanu i dawała sobie rozbijającą odpowiedź: zdobyć je na okupantach! Odpowiedź ta, przenosząc pole naszych zdobyczy państwowych z pobojowiska walki z Rosją do wnętrza stosunków okupacyjnych, była spaceniem aktu Listopadowego, a jednocześnie degradacją T. Rady Stanu, która z przedstawicielki sprzymierzonego państwa sama siebie w tej koncepcji stracała na poziom opozycji przy warszawskim i lubelskim generał-gubernatorstwie. Na poziomie tym nie mogło już być mowy o powołaniu zastępów armji, mającej zabezpieczyć państwu polskiemu jego wschodnią granicę: symbolem rodzącej się państwowości polskiej przestał być żołnierz, wkraczający nad Niemen i Dźwinę i niosący zamieszkałym tam ludom ideę wolności i równości narodowej; począł nim być urzędnik, szturmujący do biur zarządu cywilnego. To, co miało być funkcją wtórną i pochodną, wynikającą z zasadniczego celu państwowotwórczego, stało się celem samo w sobie. Urzędnik na platformie T. Rady Stanu zabił żołnierza. Jak dalece przyczynili się do tego zabójstwa Niemcy przez swoją polakożerczą politykę w Wilnie i w całej Litwie i Białorusi, była już mowa poprzednio. Tu trzeba dodać, że niemniej energicznie tłumili oni ideę bojowej siły polskiej w samej Warszawie, wywołując zrazu w ludności przekonanie odezwaniami generał-gubernatorów z dnia 9 Listopada 1916 roku, że chodzi im, być może, o krew polską w armji niemieckiej, ale nie chodzi o armję polską, później zaś cofnąwszy się jeszcze o krok jeden wstecz, mnóstwem piętrowych trudności, dając T. Radzie Stanu do zrozumienia, że zależy im, być może, na odezwie werbunkowej, ale nie zależy na żołnierzu polskim. Gdy nastąpił w Rosji wybuch rewolucji, podrywając front antirosyjski w społeczeństwie polskim, T. Rada Stanu była już przeżytkiem dziejowym, po którym niczego nie należało się spodziewać. Od opozycji, wyrażającej się w cierpliwym czekaniu, mogła ona była wówczas już tylko przejść do czekania zniecierpliwionego: niecierpliwość bowiem jest jedynym i ostatnim aktywizmem czekających. Zniecierpliwionym swoim nastrojom dała wyraz T. Rada Stanu w memorjale, wystosowanym w dniu 1 Maja do państw okupacyjnych. Na ultimatum atoli, zredagowane w postaci zniecierpliwienia, nadeszła, ze strony

państw okupacyjnych odpowiedź... bardzo pobłażliwa; jedynym owocem tego ultimatum było zdobycie sądownictwa i szkolnictwa. Nikt z Polaków nie umniejsza doniosłości tych dwu działów w budowie swobód polskich; ale każdy zauważyć musi, że ich realizacja doskonale zmieścić mogłaby się w szrankach odezwy Mikołaja Mikołajewicza, nie mówiąc już o granicach odezwy rewolucyjnego rządu Rosji do Polaków: dla spolszczenia sądu i szkoły w Królestwie nie trzeba było aktu 5 Listopada! Jakże znamienna była ta zbieżność, która sprawiła, że T. Rada Stanu upadła niemal tego dnia, w której uruchomione zostało sądownictwo polskie: znamienna przez oczywistą wskazówkę, że właściwe zadania jej leżały całkiem gdzieindziej.

Gdy czynione przez okupantów ustępstwa coraz bardziej utwierdzały w sile opozycję i zaostrzały jej natarcia, instytucja T. Rady Stanu, powołana do życia, jako organ kooperacji narodu polskiego współ z państwami okupacyjnymi dla realizowania aktu Listopadowego, coraz wybitniej z organu współpracy przedzierzgała się w platformę kolizji, rozłamując się na dwa przeciwne żywioły: Polaków i Niemców. Gdy jedna strona przechodziła coraz bardziej do konspiracji, druga miała się coraz bardziej — represji: tak, zwolna, urzęczywistniała się, przy pomocy i pod egidą rządów okupacyjnych, intencja Entente'y, niczego tak żarliwie nie życzącej sobie, jak unieruchomienia politycznego Polski do końca wojny.

Czym była istotnie T. Rada Stanu, tego niepodobna było orzec w dniu jej narodzin, jak niepodobna orzec nad jej grobem: polskim przedpołem urzędów okupacyjnych? ambasadą ekspansji niemieckiej w kraju okupowanym? poczekalnią polityczną, czy wreszcie grupą Laokoonową polskiego aktywizmu, skamieniałego w skrętach pruskiego sprzymierzeńczego uścisku? Bodaj, że tą ostatnią...

To pewna, iż owa grupa skamieniała obejmować będzie koło o wiele szersze, niż to, które zamykało się w ścianach T. Rady Stanu; pogrom i rozkład niepodległościowej demokracji, na który T. Rada Stanu spoglądać musiała niemo i bezradnie, tej demokracji, z której w znacznym stopniu wyszedł orężny czyn wyzwolenia, a z drugiej strony obozy niemieckie, w których więziona jest niemal połowa pułków legionowych — oto dwa skrzydła w układzie tej tragicznej grupy, które w bezwładzie wokół T. Rady Stanu zastygły. Nawet ta część Legionów, która przez złożenie przysięgi została jej wierna, spadając poniżej aktu 5-go Listopada, przestała jej służyć za oparcie, owszem, przyczyniła się w końcu do jej upadku.

„Wysoka Rado! — pisał krakowski Naczelny Komitet Narodowy do warszawskiej T. Rady Stanu w dniu jej powstania, przekazując do jej rozporządzenia najdroższy owoc swego dorobku: Legjony — kiedy ukonstytuowana już i w historycznym swym działaniu pełnomocna przystąpisz przede wszystkim do organizacji Wojska Polskiego, staną przed twemi oczyma zastępy tych, którzy, posłuszni wezwaniu sejmowego Koła galicyjskiego od początku wojny światowej, chwycili za broń z tą niezachwianą wiarą, że idą torować drogę niepodległości ojczyzny, że stają się zawiązkiem Wojska Polskiego. Znane są ich ofiary, ich czyny, ich pełne chwały nieśmiertelnej dzieje. Są to Legjony“.

Pół roku wystarczyło T. Radzie Stanu, aby, przy współdziałaniu Niemców i pod ich współodpowiedzialną kontrolą, dorobek N. K. N. zmarnować, nie stawiając na to miejsce nic innego. Co gorzej: sprawa polska, miast postąpić naprzód, cofnięta została na platformie T. Rady Stanu o cały niemal okres dwuletnich rządów okupacji wstecz ku nocy 4 Sierpnia 1915 r. Ten smutny fakt, że bohaterom z pod Rafajłowej i Łowczówka, z nad Styru i Stochodu, nie umiała T. Rada Stanu zgotować innego pola chwały, ponad alternatywę wyboru między polem, przez drut kolczasty ogrodzonym, a polem austro-węgierskiej komendy, stał się ostatecznym symbolem kryzysu, jeśli nie załamania, przed jakim w wyniku dwuletnich

błędów, opłacanych niezmiernym trwonicielstwem krwi i ducha, stanęła sprawa polsko-niemieckich stosunków.

IX

„Mężowie stanu Niemiec i Austro-Węgier, — powiada Fryderyk Naumann ¹⁾ — powinni okazać się godni wielkich, wspaniałych zadań, które dzięki męstwu naszych wojsk przypadają im w udziale.“

Oby wołanie to stało się zadatkami owocniejszej przyszłości! Tymczasem jednak oświeśla ono tylko przepaść, która chwilę obecną od owej przyszłości dzieli, przepaść, w której ginęły daremnie wysiłki zarówno obu państw sprzymierzonych, jak usiłowania tych narodów, które bądź historja, bądź los wojny z niemi sprzegnął.

Co można było nagim wyrąbać mieczem, to leży wyrąbane. Co można było zbudować rutyną biurokratyczną, to stoi zbudowane. Ale czy to ma być jedynym dorobkiem wojennym państw środkowych? Militarnie, finansowo i gospodarczo Niemcy dowiodły, iż w związku z monarchją Naddunajską, Turcją i Bułgarią stać je na walkę z sześcioma mocarstwami, w których liczbie stoją trzy największe potęgi państwowe świata. Niema już mocarstwa, które przyłączeniem się swym do Koalicji przechylić mogłoby dobitnie szalę zwycięstwa przeciwko Niemcom. Gdyby w zapasach takich Niemcy nie osiągnęły nic innego, jak tylko to, że nie dały się pobić, to już byłaby to legitymacja dla nich dostateczna do udziału w polityce wielkoświatowej. A przecież, mimo wszystko, nie zostało przez wojnę odwrócone od Niemiec to niebezpieczeństwo, które wraz z wojną nad ich przyszłością wzeszło: po wszystkim, czego potęgą materialna dokazała, stało się jasnym to, czego dokazać nie zdoła; jej najwyższe tryumfy obnażyły zarazem jej najgłębszą niemoc.

Już upłynął trzeci rok tej gigantycznej walki, w której Niemcy zaledwie zdążają przerzucać wojska z frontu na front, by zbierać swoje zwycięstwa, zwycięstwa mniej lub więcej świetne, z których każde z osobna w bilansie dawnej historii starczyłoby na ufundowanie nowej epoki; upłynęły trzy lata walki, w której każdy następny atak przeciwnika rozbija się o coraz twardszy mur obrony niemieckiej.

I cóż? Jakiż posiew wyrasta z tego morza krwi?

Każde zwycięstwo niemieckie gasi pamięć zwycięstw dawniejszych, gasi je i pochłania, ale nie sumuje się z niemi w wyniku potężniejącego coraz kapitału politycznego. Z każdego pobjowiska chwały militarnej wracają Niemcy nieomal ubożsi i słabsi mocarstwowo, iż zdawać się w końcu może, że zwycięstwa swoje odrabiają w posępnym trudzie, jak pańszczyzniani wyrobnicy, orzący grunt dziejowy, ale nie dla siebie, siejący krew poświęcenia, ale niewiadomo dla kogo. Usławszy pole wojny rozbitkami pięciu monarchji, Niemcy z krwią ociekającym mieczem wśród tego cmentarzyska rozbitków coraz bardziej same zaczynają wyglądać na upiorne, krwią ociekające widmo.

Kiedyż polityka niemiecka otworzy oczy na obszar leżących przed nią zadań? Dotychczas Niemcy niezdolne były swych walorów militarnych przeistoczyć w walory polityczne: czyż mają pozostać niezdolne do tego i w przyszłości? A tymczasem tu, na polu politycznym, coraz wyłączenie ogniskuje się dziś zagadnienie bytu i rozwoju Niemiec, a wraz z niemi, i całej Europy środkowej.

Wszelkie zapewnienia, ze strony kierownictwa Rzeszy, iż polityka niemiecka czuwa i pracuje, czyni rzecz, niezrozumiałą samą w sobie, jeszcze niezrozumialszą i po prostu przerażliwą.

¹⁾ P. „Was wird aus Polen“, str. 57.

Polityka niemiecka pracuje?

Tak! Gdy oręż niemiecki dokonywa rzeczy, przekraczających miarę bohaterstwa, ona piętrzy przed nim zadania, przekraczające miarę nadludzką.

Oręż niemiecki pokonał Moskwę i pod gruzami jej klęski militarnej pogrzebał największą klątwę jej losu: cara i caryzm. Wszelako Niemcy, powaliwszy Moskwę na placu boju, nie pokonały jej dotąd, jak słusznie mówi Rudolf Kjellen¹⁾, w swojej własnej duszy. I oto ten sam caryzm, który już runął w Rosji, zdawał się jej ludom grozić nadal od strony okopów niemieckich, nie okopów wojny, ale okopów polityki. Tę bojaźń, być może, nieuzasadnioną i już płonną, wyzyskuje Anglja w interesie dalszego sycenia wojny; wyzyskiwać ją atoli może jedynie dzięki temu, że polityka niemiecka zdawna grunt dla niej przysposobiła: nazbyt głęboko tkwi w duszy Rosjanina wspomnienie, że caryzm rosyjski od wieku, i niemal jeszcze śród wojny, nie miał mocniejszego druha, a ofiary jego ucisku — gorszego prześladowcy, niż rząd berliński: wszakżeż to o ścianę niemieckich najeżonych u granicy bagnotów miażdżył carat głowy nietylko powstańców polskich, ale i najlepszych synów swego kraju.

A z drugiej strony niemniej głęboko wrosły w dusze ludów dobrodziejstwa, jakie zawdzięczają Francji i Anglji. Najważniejsze pierwiastki nowoczesnego życia politycznego wiodą początek z rewolucji francuskiej i z parlamentaryzmu angielskiego: stamtąd przeszły one w krew i ciało demokracji europejskiej, promieniując chwałą owych zasad klasycznych samorządności parlamentarnej i osobistej wolności, na których gruncie zwyciężeni wszelkich przewrotów państwowych znajdowali gościnę i przytułek.

Tym zasadom nie dość jest przeciwstawić potęgę obnażonego miecza. Nie wystarcza przeciwko nim kult siły. Od człowieka, wielbiącego siłę, mocniejszy nieraz bywa ten, kto siłą gardzi.

Czyż prawdziwości zasady tej nie doświadczyły Niemcy na sobie, wstrzymując swój miecz zwycięski przed rewolucyjną Rosją w dniach największego upadku jej bojowej siły i usprawiedliwiając się niemal wobec niej — i wobec siebie — z każdego odniesionego nad nią podówczas tryumfu? Wszelako, nie potrzebowałyby Niemcy korzyć się przed bezsilnością Rosji, gdyby umiały uszanować w Polsce pierwiastki wschodzącej siły, gdyby widziały w niej nietylko źródło zaopatrzenia dla potrzeb armji i biurokracji, ale także pole twórczej pracy dziejowej, gdyby, słowem, kraj, który uważają tylko za tyły swojej armji, uznały za jedno z czołowych zagadnień polityki europejskiej.

Jeszcze wybitniejszy, bo już świadomy i przemyślany wyraz osiągnęła ta sama zasada w rezolucji pojednawczej, którą naród niemiecki, głosami swej większości parlamentarnej, uznał za jedyną drogę, wiodącą do powszechnego pokoju: jest to droga, wiodąca poprzez zrzeczenie się przez obie strony wojujące zaborów terytorjalnych. Czyż nie jest to już zmierzch owego kultu siły, zapowiadający w Niemczech wschód myśli politycznej? Rzecz jasna, iż pojednawcza uchwała parlamentu niemieckiego nie była odruchem czułościwego pacyfizmu, ale przeświadczeniem niemieckiej racji stanu, poczynającej rozumieć, że dla zabezpieczenia mocarstwowej przyszłości kraju więcej da się osiągnąć porozumieniem, niż przebojem. Była to zarazem pierwsza próba wyłamania zębów tym wszystkim maksymalistom egoizmu narodowego, którzy istnieją po tej, zarówno jak po tamtej stronie okopów, i którzy wolność własną pojmują jedynie w terminach cudzego ucisku. Ale ta rezygnacja z wyłącznego kultu miecza powinna stać się tym silniejszym dla Niemiec bodźcem do rozwinięcia systemu politycznego, któryby, w ramach dobrowolnego współżycia państw i na-

¹⁾ P. „Die politischen Probleme des Weltkrieges“, str. 138.

rodów, zwracał w przyroście wzajemnego między nimi poczucia wspólnych interesów to, co stracone zostało w węzłach przymusu i jednostronnego uzależnienia. Taki tylko system, zapewniając wszystkim jego członkom niezbędne rozszerzenie bazy politycznej, zapewni jednocześnie każdemu z nich oparcie o wspólny blok mocarstwowy.

Polska, zgłaszając swój udział w budowie tego bloku, stanęła po stronie mocarstw środkowych nie dlatego, iżby, przewidując ich przewagę, uczestniczyć chciała wyłącznie w owocach ich zwycięstw; nie zachwieje się też w swym przymierzu w obliczu najpoważniejszych ofiar i najcięższych doświadczeń. Stanęła po stronie mocarstw środkowych dlatego, że tylko w związku z nimi widziała możliwość pracy nad własną odbudową. Na samodzielny czyn Polski niema miejsca w granicach biurokracji okupacyjnej, która może tylko mniej lub więcej podłużać łańcuch, który nas krępuje. Ale na czyn taki jest miejsce w granicach polityki wielkoświatowej, która przeciąć może wszelkie łańcuchy ucisku, wiedząc, że łącznikiem, który najsilniej wiąże ze sobą ludy, narody i państwa, jest zobopólnie odczuta i zrozumiana solidarność interesów.

Z trzech mocarstw, osobiście w sprawie polskiej zainteresowanych poprzez smutne dziedzictwo rozbiorów, Rosja utraciła na sprawę tę wpływ faktyczny wraz z utratą znacznej części swego zaboru; Austro-Węgry, acz nie tracąc całkowicie wpływu, pod naciskiem zdarzeń militarnych utraciły wszelako na gruncie polskim inicjatywę: bitwa pod Gorlicami, niosąc klęskę Rosji i ocalenie Austro-Węgrom, przyniosła degradację obojgu. Od owej chwili, której pieczęcią polityczną stało się zajęcie Warszawy przez armję niemiecką, w ręku Niemiec spoczęły klucze sprawy polskiej; wraz z nimi—odpowiedzialność za ich użycie.

Los bitew, realizując głęboki sens dziejowy, zrzucił, że możliwość podjęcia sprawy polskiej przypadła w udziale temu, kto, posiadając dość siły do jej rozwiązania, dostrzegł zarazem swój własny interes mocarstwowy w jej rozwiązaniu radykalnym, które dokonać się może jedynie przez odbudowanie państwa polskiego.

Rosja rozwiązać sprawę polskiej nie mogła, gdyż sprawa polska rozwiązuje się tylko przeciw Rosji i wbrew niej: wskrzeszone państwo polskie, mogące, w pewnych warunkach, stać się szansem obronnym dla mocarstw środkowych, staje się dla Rosji, we wszelkich warunkach, wyłomem, uczynionym w jej zachodniej ścianie. Potęgą wskrzeszonego państwa polskiego może, w pewnych koniunkturach, sumować się z potęgą Niemiec, w innych—z potęgą Austrii, lub z potęgą obu tych mocarstw, lecz we wszelkich koniunkturach odejmować się będzie od potęgi mocarstwa rosyjskiego.

Rosja do rozwiązania sprawy polskiej nie ma tedy ani siły, ani sposobności; gdyby miała możliwość i siłę, zbrakłoby jej woli, która jest w państwie niczym innym, jak uświadomioną tendencją historyczną.

Austro-Węgrom nie zbywało na intencji i nie zbywało na okazji stanowienia o sprawie polskiej; prócz tego mają one sobie tylko właściwe do tego zadania kwalifikacje historyczne, zbywa im atoli dotkliwie na siłach. Zarówno zasadnicza linja ekspansji austro-węgierskiej, idąca z biegiem Dunaju ku Bałkanom, jak zasadniczy ich wysiłek bojowy, który niemal wyłącznie wyładował się w kierunku południowym, nie pozwala im sięgać zbrojnym ramieniem tam, gdzie leży główny plac boju wskrzeszonej niepodległości polskiej, przedmiot wiekowego sporu polsko-rosyjskiego, kraje Litwy i Białorusi.

Niemcy, jak powiedziano, mając możliwość rozwiązania sprawy polskiej, dowiodły aktem Listopadowym, iż rozumieją niewątpliwie płynący stąd dla siebie zadek interesu. Czy jednak znajdują w sobie do jego przeprowadzenia dość woli konsekwentnej i dość umiejętności? Od aktu Listopadowego minie niebawem rok cały; od okupowania Warszawy upłynęło z górą dwa lata. Owe dwa lata stały się klasycznym kołem straconych wysiłków i popełnionych błędów. Zbłąkana myśl, obiegłszy olbrzymi krąg, wraca do swego punktu wyjścia. Jeśli,

ogarniając wyniki tych dwu lat, na gruncie polskim dostrzec można pewne zdobycze w dziedzinie programu autonomicznego, dzięki przejściu w polskie ręce niektórych działów życia publicznego, to, z drugiej strony, niepodobna dostrzec, aby choć jeden krok uczyniony został w kierunku budowania zapowiadanej aktem Listopadowym państwowości: zasadnicze atrybuty władzy państwowej—rząd, skarb i wojsko—spoczywają dziś tam, gdzie spoczywały przed rokiem, t. j. w zakresie postulatów. A przecież one dopiero wydzwignęłyby sprawę polską z tej płaszczyzny nieokreślonych możliwości, na jakiej utrzymać ją pragną nasi wrogowie, na poziom zdecydowanej siły polskiej o ustalonych dążnościach i określonych kierunkach ekspansji. Najdalej posunięta realizacja urządzeń autonomicznych, nie zaspokajając pragnień narodu, otwierać będzie tylko drogę dla najszerzych w kraju wpływów i oddziaływań postronnych. Pierwszy natomiast kamień węgielny, u zrębu niezależności polskiej złożony w postaci odpowiedzialnych przed narodem organów władzy państwowej, nawiąże trwały stosunek naturalnego sojuszu z temi, którzy w dziele budownictwa z dziejową nam przyjdą pomocą. Na tej tylko drodze obie strony zapewnić sobie wzajem będą mogły niezależne i pożądane rękojmie. I na tej drodze okaże się również, że to, co Niemcy nazywali swoim brakiem zaufania do Polaków, było tylko ich złym sumieniem, własnym ich sumieniem, wyrzucającym im błędy tej bezprzykładnej polityki, jaką ku naszej i swojej szkodzie w bezpośrednio poprzedzającej nas przeszłości i w teraźniejszości wobec narodu polskiego uprawiali.

Warszawa, wrzesień, 1917.

ZAGADNIENIE JEDNOŚCI NARODOWEJ.

1914 — 1917

Od pierwszej chwili wybuchu wojny europejskiej stanęło przed Polską nierozwiązane po dziś dzień zagadnienie jedności narodowej. Zagadnienie w swojej treści tragiczne, skoro się uwzględni, że zjednoczenie wszystkich sił narodowych do wspólnego wysiłku mogło być jedynym orężem, jakim Polska mogła rozporządzać w największych zapasach świata, i jeśli się zechce pamiętać, że dzień wybuchu wojny był zarazem dla wszystkich niemal społeczeństw europejskich dniem przewyższającego wszelkie oczekiwania skupienia się wewnętrznego, zatarcia, złagodzenia, czy bodajby utajenia nurtujących je wewnątrz przeciwieństw i konfliktów.

Nie przestając być przykrym, zjawisko to było tym niemniej całkiem naturalne. Dziś, patrząc z dołu, czy nawet i podówczas—patrząc trzeźwo, można było dojść łatwo do przekonania, że inaczej sprawy się w Polsce ułożyć nie mogą. Naród, pozbawiony własnych form państwowych, pozbawiony ośrodka, w którymby zbiegały się jego aspiracje, poglądy i tendencje, z któregooby w formie skryształizowanej wypływała, jako wypadkowa rozbieżnych programów, skończona i ściśle określona myśl państwowa—musiał być zdany na łaskę losu i na hazard przypadku. Można przypuszczać, że w podobnych warunkach wszędzie, nawet u narodów najbardziej pozornie jednolitych, otrzymałoby się podobne wyniki; że nawet w Niemczech, Francji czy Rosji tak mocno napozór zwarta myśl narodowa rozpełzłaby się w tysiącznych kierunkach w chwili, w której od całości odcięty zostałby jej organ kierowniczy—mózg—rząd, w której opadłyby bezwładnie sprężyste dotychczas działające ręce—przymus fizyczny, którym każdy rząd nakazuje posłuch swej woli. W takich warunkach każdy naród byłby zalewiskiem, na którym wichry uczuć wzdymałyby fale nastrojów.

U nas zachodziła jeszcze jedna okoliczność obciążająca: sto dwadzieścia lat barbarzyńskiej niewoli, w której zamierały wszelkie odczucia własnych form państwowości, wszelkiego wogóle życia gromadzkiego, w której paczył się nie tylko zmysł organizacyjny, ale instynkt samozachowawczy, mąciła świadomość narodowa, ztracała trzeźwa i realna ocena warunków, w jakich się w danej chwili naród znajduje. Zasadnicza różnica orjentacyjna—oparcie się o wschód czy o zachód—redukowała się wszak po prostu do cyfrowej oceny strat, jakie się z tej czy tamtej strony ponosi, jakie po dłuższym okresie czasu z tej czy tamtej strony mogą nas narazić na utratę życia. W tych jednak sprawach wysoce skomplikowanych przy największej nawet chęci opanowywania swej wrażliwości sam instynkt nie wystarczał, jeśli nawet instynkt w takich sprawach nie jest wogóle czczym i pustym słowem. Nie mówiąc o skończonych analfabetach, przeciętny Polak, chcąc sumiennie powziąć decyzję, musiałby się zwrócić o radę do jakiejś instytucji kierowniczej, do jakiegoś przysięgłego i urzędowego rzeczoznawcy, któryby sumę strat, szkód i niebezpieczeństw od tego czy innego zaborcy dla Polski płynących ustalił. Gdy rzeczoznawcy takiego nie było, poglądy—z natury rzeczy niewolne od subiektywnych składników—dochodziły w subiektywiźmie swym do absurdu, spro-

wadzały się zazwyczaj do umotywowanych wstrętów, uprzedzeń i nałogów myślowych, do prostego dopatrywania się wroga w tym, kto, niszcząc dobytek i zagrażając życiu jednostek, wojnę przyniósł na nasze śmietnisko.

To należy stwierdzić i o tym należy pamiętać choćby dlatego, żeby rozmiarów naszej winy i odpowiedzialności wewnętrznej nie przeceniać, jałowego pesymizmu zbędnie całkiem nie żywić. W takich warunkach inaczej być nie mogło. Jeśli w pierwszych chwilach wojny były u nas dwie tylko orjentacje, to jedynie dlatego, że więcej ich wobec dwu na ziemiach naszych grup przeciwników być realnie nie mogło.

Do tych trudności psychicznych przybyły niebawem trudności natury czysto fizycznej. Po pierwszych kilku miesiącach wojny Polska rozcięta została linją rowów strzeleckich tak niesłychanej długości i takiej spoistości, jakich nietylko nie widziały dzieje świata, ale jakich najbujniejsza nawet wyobraźnia nie mogła przewidzieć. Rozdarte, jakby ciosem potwornego topora, dwie części Polski nietylko utraciły możność jakiegokolwiek ze sobą zetknięcia, ale przestały wogóle cośkolwiek o sobie wiedzieć, przestały orjentować się co do dążeń, nastrojów, co do najważniejszych nawet faktów, jakie zachodziły po tamtej stronie kordonu wojskowego. Rzadkie niesłychanie przyjazdy wysłańców Naczelnego Komitetu Narodowego i kurjerów, przywożących rozkazy do Polskiej Organizacji Wojskowej, w niczym niemal nie mogły stanu rzeczy poprawić, gdy wysłańcy już po kilku tygodniach tracili wątek orjentujący ich w rozwoju wypadków, od których zostali odcięci, a kurjerami bywały przeważnie osoby słabo albo wcale nie znające sprężyn głębszego życia politycznego. Na tym tle nie było plotki dość potwornej, hipotezy dość bezmyślnej, któreby nie utrudniły porozumienia. W tych warunkach marzyć o zjednoczeniu duchowym, o wytworzeniu instytucji centralnej, której nie wytworzyły cztery w Polsce pokolenia, żyjące w niewoli, było po prostu szaleństwem.

I dziś, kiedy się na te sprawy patrzy już z pewnego oddalenia, trzeba zgodzić się, że zagadnienie sprowadzało się do kwestji znacznie skromniejszych. Skoro nie można było zebrać rozbieżnych dążeń polskich w jednym ognisku, ważnym i decydującym było, czy te kilka pomniejszych ognisk, które wytworzyły się w Polsce, będą mogły wciągnąć w sferę swego działania cały bez reszty naród, czy potrafią poza tym wcześniej lub później spłynąć do jednego koryta. Niestety, i na tej wtórnej, znacznie już niższej, płaszczyźnie zagadnień narodowych sprawy stały nie o wiele lepiej.

Nie o wiele lepiej stały nawet w Galicji, która, jeśli o zjednoczenie myśli politycznej chodzi, wysunęła się odrazu na czoło ziem polskich. Wprawdzie tam, po przymusowym usunięciu się paru stronnictw od wspólnej pracy, cała reszta, a tą resztą była istotnie olbrzymia większość kraju, znalazła się w jednym obozie. Znacznie wcześniej jeszcze, niż przyszła w postaci najazdu rosyjskiego straszliwa lekcja braterstwa słowiańskiego, cały kraj stanął pod znakiem legjonów i pod znakiem jedynej chwilowo i najwyższej instytucji narodowej, Naczelnego Komitetu Narodowego. Anemiczna i zbiurokratyzowana Galicja, przedmiot zaciekle bezmyślnej krytyki i zakrawających na oszczerstwa drwinek, zdobyła się jednak odrazu na ton najbardziej górny i nie mogło być wątpliwości, że jest w tym coś o niebo całe wyższego od zimnych kalkulacji menérów politycznych. Te skrzynki skromnych srebrnych wyrobniczych obrączek ślubnych, składanych na cel narodowy, ten czwarty syn, którego matka chłopka, mająca już trzech synów w wojsku austrijackim, oddawała legjonom, ten przedziwny smak nietylko najcieńszej, ale całkiem dobrowolnej, ofiary miały swoją przekonującą wymowę i nie można odżalować, że doszczętne odcięcie fizyczne od reszty Polski nie pozwoliło tej wymowie oddziaływać dostatecznie na stęchlą atmosferę Królestwa.

Niestety, cały ten piękny gmach stał od początku na fundamentach zbyt wątkich, co gorzej, na fundamentach z pustej i fałszywej cegły. To bowiem, co od 16 sierpnia, od chwili powstania Naczelnego Komitetu Narodowego, było podstawą i racją zjednoczenia wszystkich odła-

mów opinii krajowej, było nietylko już kompromisem, ale kompromisem, pozbawionym zasadniczej cechy trwałości, jaką jest lojalne i rozumne uwzględnienie interesów obu stron przystępujących do wspólnego działania. To wszystko, co w owej osobiwej spółce było skarbem zapasu, skrętnie i w niesłychanym mozole gromadzonym kapitałem organizacyjnym, co było jednym słowem polską gotowością bojową w chwili rzucenia rękawicy kolosowi rosyjskiemu, było własnością jednej tylko strony—odłamu radykalnie niepodległościowego, który się zresztą niemal w zupełności pokrywał z radykalizmem społecznym. To natomiast, co okazało się wpływem, prawem kierownictwa i przywilejem reprezentacji, znalazło się niemal w całości w rękach obozu mniej czy bardziej zaakcentowanego konserwatyzmu i ugody, który nietylko z ideą samodzielnego ruchu zbrojnego polskiego nie miał nic wspólnego, ale który ją dotychczas najzacieklej, z użyciem wszelkich dozwolonych i niedozwolonych sposobów zwalczał, nie już za szkodliwą, ale za antynarodową ogłaszał, piętnem prowokacji bezmała piętnował. Mogło to wyglądać na niesłychany tryumf idealizmu polskiego, i jeśli kto już chciał nadto pocziwie sprawy traktować, można się było przy tej sposobności szczerze wzruszać rozgrzaniem wszelkich w Polsce sere z kamienia czy drewna, zakwitnięciem wszelkiego w Polsce próchna. W rzeczywistości sprawy wyglądały nieco mniej poetycznie. Nietylko dla ludzi bliżej spraw publicznych stojących, ale dla szerszego ogółu nie było tajnym, że nie piorun to zapalił świętą iskrę zapasu w piersiach różnych doszłych i niedoszłych ekscelencji krajowych, ale cichy podszept, który nadszedł z Wiednia, nie żywiołowy pęd pochylił ich głowy przed dostojnością momentu, ale sznurek, którym panowie z Ballplatzu poruszali marionetki krakowskie.

Oczywiście, gdyby hasła, rzucone przez oddziały strzeleckie przy przekroczeniu granicy d. 6 sierpnia, zapaliły jakieś wielkie w Polsce pożary, gdyby ruch zyskał nietylko na rozpędzie ale na masie, nie czaiłoby się w tym sztucznym i nieszczerym patosie konserwy galicyjskiej żadne niebezpieczeństwo, nie zgrzytałby zagłuszony mocniejszym dźwiękiem dysonans. Ale te hasła zamarły bez echa, a stopy strzelców zaczęła parzyć zimna ziemia Królestwa. W prostym, nieuchronnym następstwie przyszło „przystosowywanie ideałów do realnych warunków życia“, przyszła piołunowa gorycz przysięgi kieleckiej, wcielenie oddziałów strzeleckich do szeregów armii austro-węgierskiej. Anatemy, rzucone w Warszawie na „galicyjskie zaprzaństwo“, na „lojalizm i ugodowość krakowskie“ w pierwszym, rządzie ugodziły w to, co miało być samodzielnego czynu polskiego najwyższą, najczystsza wykładnią. Największa, najboleśniejsza z ran, jaką Polska wyniosła z niewoli—niemoc czynu, trwoga przed życiem, obnażyła się odrazu i doszczętnie, i w tych warunkach skonsolidowanie całej opinii polskiej na jedynie zdrowej podstawie musiało okazać się fikcją. Skonsolidowanie opinii galicyjskiej odbyło się w takich rozmiarach i w takiej postaci, na jakie Galicję stać było.

Byłoby może lepiej, gdyby te warstwy demokratyczne, z których przy pełnej ich świadomości wytrysnął ruch niepodległościowy, czuły żywiej swą wartość i znaczenie w danym momencie historycznym, gdyby zdawały sobie sprawę, jak niedozwolonym jest wypuszczenie z rąk wodzy, jak dalece bezpłodnym musi pozostać owo szlachetne zwycięstwo nad sobą, nad swoją ambicją partyjną. Byłoby też jednak niewątpliwie o wiele bezpieczniej i zdrowiej, gdyby żywiły konserwatywne nie chciały swego rzekomego tryumfu wyzyskiwać tak bezwzględnie i z tak fatalną w skutkach złością. Przedewszystkiem zaś, gdyby w chwili ogólnonarodowego znaczenia nie zechciały rządzić się i powodować tak wyłącznie swoim interesem klasowym, swoimi kastowymi uprzedzeniami, swoją zazdrośną zachłannością władzy. Wiadomo, jak wielką, jak mało zaszczytną rolę odgrywały te właśnie polskie ręce w pierwszym usuwaniu twórcy naszego ruchu zbrojnego od władzy, od objęcia komendy nad wojskiem, które wyprowadził z pod ziemi. Mimo wszelkie różnice poglądów niema już chyba dziś u nas człowieka o czystym sumieniu i spokojnej głowie, któryby nie zdawał sobie sprawy, jak wielu klęsk, wstrząśnień i zgrzytów była później owa fatalna wygrana przyczyną. A przecie nie był

to tylko wypadek, było w tym coś więcej, niż niechęć do człowieka, był system. System usuwania przeszkód z drogi, po której się chciało wrócić do starego wygodnego koryta i głęboka, dziedziczona pokoleniami niechęć do dzielenia się z kimkolwiek prerogatywami władzy. System lojalizmu w przeciwstawieniu do hasła samodzielności i zamknięcia się w skorupie klasowej, w przeciwstawieniu do masowego ruchu. Zwichnięcie i zmarnowanie dwu jedynych ośrodków, które same jedne mogły mieć ogólnonarodową siłę przyciągającą. Już wówczas, w tych pierwszych wojny tygodniach, rysował się cały późniejszy rozłam wyraźnie.

Nie widzieć go mogła tylko naiwność. Zakitować go — i to do pewnego czasu — mogło tylko bezwzględne powodzenie. Ale to powodzenie nie w polskich leżało rękach. Obce zaś ręce również mało skłonne były popierać polskie ruchy emancypacyjne, jak jakąkolwiek zadawać sobie fatygę dla ratowania pozorów w stosunkach z polską ugodą.

Gorzej, daleko gorzej stały sprawy w Królestwie. I tu wprawdzie, podobnie jak w Galicji, olbrzymia część społeczeństwa skupiła się około jednego hasła sztandarowego, około programu zjednoczenia ziem polskich. Ale tu nieporównanie więcej, niż w Galicji, skupienie to było raczej pozorem niż faktem, raczej mechanicznym zsypaniem najbardziej różnorodnego materiału, niż spoistym spławem, który stopić się może w rzadkim momencie rozżarzenia narodowego uczucia do najwyższej temperatury. Bo jeżeli w Galicji w pewnych warstwach górnych temperaturę tę udawano całkiem na zimno, to tu brakowało jej niewątpliwie w całej rozciągłości i na całym obszarze.

Liczne były ku temu powody. Najważniejszym i całkiem wystarczającym były braki wewnętrzne samego programu jednoczącego, owej iskry, która miała żar uczucia wytworzyć. Nie tu miejsce wchodzić w rozbiór merytoryczny koncepcji politycznej, jaką było powzięto Królestwo w pierwszym okresie wojny. Nie jest wszakże rzeczą możliwą ominąć te pewne cechy zasadnicze, które nieodwołalnie pozbawiały go wartości jednoczących opinję narodową.

Był przedewszystkiem ów program najoczywistszą, nie dającą się ukryć abdykacją z najwyższego ideału narodowego. Był najbezwstydniejszym zaprzeczeniem marzeń ojców i działów. Najszczerzi, najgorętsi jego zwolennicy, przyparci niebawem do muru w ustnych i drukowanych dyskusjach, nie byli w stanie podnieść go ponad poziom pewnej wartości użytkowej, nie mogli ukryć, że jest on tylko etapem do celu, odsuniętego świadomie dobrowolnie na zgoła nieokreśloną odległość. Mógł być — w innych oczywiście, wcale podówczas nie istniejących w Polsce warunkach — praktycznym kompromisem z twardą rzeczywistością, kompromisem, poczętym na zimno, przeprowadzonym przez zawodowych polityków. O porywaniu mas nie mogło być mowy.

Zwłaszcza że był kompromisem pomyślanym niedołącznie i mdło, wnioskiem wyprowadzonym z przesłanek całkiem fałszywych, albo zgoła nie istniejących. Cel najwyższy, cel istotny programu — owo zjednoczenie rozdartych części ojczyzny — był nietylko poza domniamaną wolą kierowników polityki rosyjskiej, był najoczywiściej po strasznych klęskach na jeziorach mazurskich, po bitwie łódzkiej i piorunującym z nad Dunajca natarciu — poza wszelką ich rzeczywistością. Programowi politycznemu brakowało najkapitałniejszej cechy każdego zdrowego programu — przenikliwości w odgadywaniu najbliższej przyszłości politycznej.

W ten sposób po kilku miesiącach wojny program ten mógł być już tylko negacją. Negacją, opartą w dodatku na motywach jednostronnych i dość literackich w warstwach górnych, całkiem sztucznych i fałszywie rozumianych wśród ludu. Inteligencja pozwalała się w rozumowaniach politycznych fascynować utworom literackim, kastrovanym, sztucznie naginanym do potrzeb państwowości rosyjskiej przez cenzurę warszawską; lud, nie znając ich zupełnie, nie zajmując się zgoła polityką, nienawidził Niemców, jako domniamaną przyczynę i oczywiste ucieleśnienie wojny. W obu wypadkach nienawiść nie była normowana jakimkolwiek bodajby rozumieniem istotnego sensu rozgrywających się na polskim teatrze wojny wypadków, celów

i przyczyn wojny, skutków i doniosłości działań, których byliśmy pierwszym obiektem. Z samej jednak nienawiści trudno tworzyć jakieśkolwiek na dłuższą metę programy. Nienawidzieć trzeciego mogą nawet dwaj najzawziętsi względem siebie wrogowie. Z samej nienawiści nie lepi się narodów.

To też poza garstką awanturników politycznych i całkiem już zacierzewanym manja-ków nie było nikogo, ktoby w tym osobliwym planie uszczęśliwienia Polski poprzez zwycięstwa Rosji śmiał opracować i w życie wprowadzić jego część pozytywną. Rola Polaków zredukowana w nim była od początku do końca do roli niemych, nędznych i poniewieranych statystów, zmuszonych w dodatku do przymuszonego uśmiechu w chwili, kiedy trzeba było przygryzać wargi, żeby nie wybuchnąć wściekłością. Inaczej jednak być nie mogło. Nietylko dlatego, że „bratnia“ gospodarka w „zjednoczonej“ Galicji uragała najskromniej pojętemu interesowi Polski, ale i dlatego, że odmienną swoją metodą Rosja nie zadawała sobie nawet fatygi, by zachowywać jakiekolwiek pozory, wygrywać jednych przeciwko drugim, popierać kierunki sobie przychylne, przekładając raczej brutalne, pełne pogardy i pychy odrzucanie wszystkiego co było polskim, bez względu na to, czy ręka wyciągająca się ku niej trzymała sztylet czy różdżkę oliwną. Tworzenie, na przykład, po stronie rosyjskiej polskich oddziałów wojskowych mogło być błędem, mogło być grzechem, było jednak oczywistą konsekwencją polskiego programu zjednoczeniowego, nakazującego przede wszystkim zniszczenie czynników zjednoczeniu ziem polskich przeszkadzających. To jednak, co zostało podjęte, było bez żadnej wątpliwości płodem niedonoszonym, poczętym w zwątpieniu, poronionym w pełnej zniechęcenia goryczy. Nikt w Polsce nie miał odwagi postawić tego punktu programu jasno, mocno i szczerze, z rzuceniem na szalę całego swego mienia, całej woli, zapału i przekonania. Gdyby rzucił, nikt nie miałby go odwagi popierać. Gdyby go nawet poparło to wszystko, co marzyło w Polsce o zjednoczeniu, cóż zapewniało sztandarowi kainowemu wartość realną, skoro Rosji podobało go się uważać za płachtę, zgola zbędną, bezmała wroga? To też pomysł zwyrodniał i zmarniał w samym zaczątku. Ale przy czym w takim razie, pod jakim widocznym, żywą ręką dotykającym znakiem miało stawać Królestwo, jeśli nie chciało w niemym milczeniu, w hańbiącym czasie największej w dziejach świata wojny bezczynnie czekać szczęścia, na które dla nas pracował wróg. Tłum można porwać głupstwem, można porwać namową do zbrodni, nie można natomiast przez czas dłuższy utrzymać go w miejscu rozkazem martwego czekania przyszłości, zwłaszcza gdy jej teraźniejszość w najoczywistszy sposób zaprzecza i uraga.

Z tych względów hasło, przy którym tak głośno, choć może znacznie mniej twardo sta-wało Królestwo w pierwszym roku wojny, pozbawione było tej siły dośrodkowej, jaka jest niezbędna do istotnego zjednoczenia całości czy wielkiego odłamu narodu. Co gorsza, niezależnie od tego hasła, nurtowały społeczeństwo prądy odśrodkowe, słyszeć się dawały może niezbyt silne, ale całkiem wyraźne zgrzyty i trzeszczenie więzi społecznych.

W Galicji warstwy górne przywłaszczyły sobie życiodajny potok, który trysnął w nizinach. Potok skanalizowano, zużytkowano ubocznie do celów całkiem praktycznych. W Kró-lestwie nic podobnego zająć nie mogło, bo nie było żadnego ruchu od dołu. Ten ruch, który był, ściślej powiedziawszy, te pozory, które wywołały złudzenie ruchu, nietylko nie łączyły się z dołem, ale go nawet nie raczyły dostrzegać. W tym wszystkim, co nowego przyniosła Kró-lestwu wojna, w Komitetach Obywatelskich, wszelkiego rodzaju potrzebnych czy zbytecznych komisjach, stałych czy chwilowych zgromadzeniach, kuchniach robotniczych i t. d. lud, demo-kracja świeciły zupełną niemal nieobecnością.

To też lud ten stanął niebawem całkiem osobno. Stał, jak trzecia Polska obok tamtych dwu: walczącej o niepodległość i czekającej na zjednoczenie. O zjednoczeniu nie wiedział nic prawie, nie wiedział, co można i należy jednaczyć; na niepodległość, na „pańską Polskę“ dąsał się i zżymał. Niekiedy przez straszliwy jakiś refleks pamięci trwożył się, że ta Polska

to po prostu—pańszczyzna. Nie dał się w popowstaniowym półwieczu kupić kłamana carskich sług łaską, ale nie dał się też rozgrzać kroplom gorącej krwi, którą na ciernistej drodze ku niemu ronili przeróżni ideowcy. Niemca nienawidził—niewiele co więcej wszakże niż „pana“—i nie ufał mu, jak nie ufał nikomu. Niewiadomo, co byliby odpowiedział na płomienne do wspólnej pracy odezwy; nie potrzebował wreszcie odpowiadać nic, bo odezw tych—płomiennych czy bodajby lodowatych—żgoła nie było. Koncepcja polityczna, którą podówczas żyło Królestwo, nie przewidywała wcale udziału ludu, bo ona wogóle udziału Polaków w tym wielkim czynie, który się miał dokonać, nie przewidywała bezmała. Wystarczało paru pokątnych doradców, kilku „chadatajów“ w stolicach państwa i kilkunastu mniej czy bardziej utalentowanych gryzmołów do robienia pozorów nastroju i powtarzania w rannym i wieczornym gazety wydaniu, że oto nastał nam wielki dzień. Było to co najmniej w równej mierze nieszczerze, jak płytkie, kłamane ludziom, światu i—co najgorsza—sobie.

Spodem, nurtem głęboko ukrytym, pulsowały stare, nieczym nie ukojone tęsknoty do światła, do wolności istotnej i bezwzględnej. Nie zamierały nigdy — w najgorszych nawet momentach rozpanoszenia się rusofilstwa. Były znacznie silniejsze, niżby z pozorów można było przypuszczać, targały bowiem w chwilach rozmów poufnych, a w nocnej ciszy, z samym sobą prowadzonych rozmów—nawet serca pozornie całkiem innym ideałom oddane. O pogodzeniu ich z poglądami większości nie mogło być mowy, bo większość, upojona swoją przewagą liczebną, porozumienia nie szukała bynajmniej. Najjadowitsze, najhaniebniejsze zniewagi pod adresem znienawidzonych niepodległościowców z tamtej strony rowów strzeleckich, czy z tamtej strony kordonu żandarmskiego, były stałą przyprawą całej niemal prasy warszawskiej. Nawiasem mówiąc, zapomniało się o tym z tak rozbrajającą łatwością, jak gdyby chodziło o zdarcie kartki kalendarzowej.

Niestety i ten prąd, jakkolwiek nikły sam w sobie, rozszczepił się na trzy, jeśli nie zwalczające się, to obce sobie niemal i niechętne kierunki. Składał się z tak zwanej „secesji“, przedwojennego jeszcze odłamu narodowej demokracji, grupy wyłącznie inteligenckiej, społecznie niewyraźnej, o tendencjach raczej konserwatywnych, z ruchem niepodległościowym w Galicji nie mającej nic wspólnego nie tylko przed wojną ale i po jej wybuchu, w określaniu swego programu politycznego niesłuchanie ostrożnej i niechętnie czymkolwiek wiążącej się. Również pochodzenia narodowo-demokratycznego była t. zw. „fronda“, która już podczas wojny przybrała nazwę „konfederacji“, ogarniając trochę młodzieży narodowo-niepodległościowej i bardziej zachowawcze organizacje ludowe z zupełnym niemal wyłączeniem inteligencji; mając swój odpowiednik w galicyjskich drużynach strzeleckich, ruchowi wojskowemu przed wojną była nieobca, w Królestwie jednak stała i rozwijała się raczej śmiałością gestu i ruchliwością paru działaczy, niż istotną siłą wewnętrzną. Trzecim wreszcie był odłam t. zw. lewicy niepodległościowej (Unja lewicy niepodległościowej), oparty na organizacjach młodzieży postępowo-niepodległościowej, garstce radykalizującej inteligencji i przede wszystkim na kolebce polskiego ruchu zbrojnego—frakcji rewolucyjnej Polskiej Partji Socjalistycznej.

Rzeczą charakterystyczną dla późniejszego rozwoju wypadków jest faktyczne ustosunkowanie się ówczesne trzech grup powyżej wspomnianych do wysłańców z tamtej strony kordonu: gdy emisariusz sfer czysto wojskowych, nieodżałowanej pamięci Tadeusz Żuliński przybył jako reorganizator i komendant Polskiej Organizacji Wojskowej do Warszawy, usilnym jego staraniem było, mimo żywe osobiste ciążenie ku kierunkowi radykalnemu, zachować najpoprawniejszą neutralność wśród rozbieżnych prądów antirosyjskich; gdy natomiast przybył tu wysłannik Naczelnego Komitetu Narodowego, debit jego na gruncie warszawskim odbył się za pośrednictwem kół radykalnych, stosunki zaś z późniejszymi sojusznikami—secesją i frondą były w pierwszym wypadku chłodne i rzadkie, w drugim nieomal żadne. Ale były to czasy, kiedy dzisiejsi poplecznicy enkajenowi, żywioły konfederackie ujawniały publicznie wątpliwość

co do bezwzględnie polskiego kierunku naczelnej instytucji galicyjskiej, i kiedy sfery radykalnej lewicy chłostały ich za to w imię karności narodowej. Tempora mutantur...

W szerokich masach, coraz bardziej przerażonych oplakanymi skutkami „braterskich” sojuszków, ujawniała się niewątpliwie coraz żywsza tęsknota do jakiegoś ośrodka siły, bodajby moralnej, do jakiegoś węzła jednoczącego. Kiedy w jednym z numerów „Niepodległości”, organu Konfederacji, ukazał się „rozkaz do naczelników gubernji, powiatów i miast, oraz sołtysów i wójtów”, piszący te słowa miał możność stwierdzić, że w głuchych zakątkach litewskich ludzie płakali na widok tego pierwszego „rozkażu”. Niestety, czy trzeba było prędko obetrzeć i ukryć, gdy ujawniło się, że „rozkaz” jest słowem tyleż głośnym, co pustym. W istocie rzeczy nie było nie tylko żadnej budowy nadrzędnej, ale nie było nawet żadnej chęci do jej wzniesienia. Wzajemna nieufność, zastarzałe niechęci, brak wiary nie tylko w sąsiada, ale w siebie samego, suche doktrynerstwo i kańciasta drażliwość uniemożliwiały wszelkie porozumienie. Fatalne skutki podziemnej pracy, wyludnienie organizacji, z których najtężsi ludzie poszli na pole walki albo gnili w kazamatach moskiewskich, zrobiły swoje. I tu nie można było marzyć o bezpośrednim pozytywnym programie. I tu czekano jutra.

Stosunki mogły się zmienić tylko przez dopływ świeżych sił. Widoki rozrostu przedstawiały się z początku dosyć pomyślnie. Gorycz i obrzydzenie z powodu tyleż bezwstydnego, ile nieudolnej polityki filorosyjskiej, wzbierały w duszach coraz silniej. Pod tym hasłem odrywały się od przodującej moskalofilstwu narodowej demokracji nowe grupy, tworzyły się nowe stronnictwa, nowe związki stronnictw (t. zw. blok, obejmujący narodowych radykałów, ludowców-zaraniarzy, grupę pracy narodowej i zjednoczenie postępowe). Niestety, wszystko to miało zaiste — ołowiane podeszwy ¹⁾. Zdobywając się na protest przeciwko nadużywaniu wielkich haseł do całkiem poziomych celów, na nic więcej zdobyć się nie mogło. Gubiąc się i wklajając w nieskończonych dociekaniach, hipotezach, przewidywaniach możliwości, które mogły nie przyjść, nie próbowały nawet grupy te, zawieszone między ziemią a niebem, odnaleźć żadnej drogi, po której można byłoby chcieć iść dokądkolwiek. O samym akcie pójścia, o tym, że nogi służą do chodzenia, a polityka jest szeregiem prób i wysiłków realnych, nie było nawet w tym obozie mowy. Z obawy przed złamaniem nogi wolano raczej nie iść. Nie wzmacniając nikogo, nikomu i niczemu naprawdę nie przeszkadzając, kisiły raczej te żywioły bezwładu, rozlewając się w jakieś wody stojące, od których zaczynał już iść zaduch.

Tak w bezgranicznie biernym oczekiwaniu zszedł Królestwu pierwszy rok wojny. Jak przez długie, straszne lata poprzednie, kraj podobny był do jednej wielkiej celi więziennej, okratowanej tysiącem szykan i zakazów policyjnych, cenzuralnych, wysoce politycznych i ściśle wojskowych, całego tego aparatu gwałtu i przemocy zaborcy. Nie tylko wielkich czynów — brakło nawet słów wielkich. Pozostawały jedynie do codziennego użytku jałowe dyskusje rozgoryczonych niewolą więźniów. Mało zależało na uzgodnieniu ich, skoro wnioski — niezgodne czy zgodne — były tylko czystą teorją.

Aż przyszedł nowy dzień. Z piorunującym łoskotem wysadzonych pod Warszawą mostów odwróciła się nowa karta historii. Zdawało się, przez bardzo krótką chwilę zdawało się, że można będzie porwać Królestwo, jeżeli nie do postawienia wspólnego kroku, to przynajmniej do powiedzenia wspólnego słowa. Warunki po temu były wszak lepsze, niż kiedykolwiek od początku wojny. Program oparcia się o Rosję był już daleko za Wisłą, nie tylko w postaci uciekających wojsk rosyjskich, ale w osobach wybitniejszych swych twórców, przywódców i popleczników. Przedewszystkiem zaś obalony został jego kamień węgielny — wiara w niezwy-

¹⁾ Notujemy dla ścisłości, że tego tak trafnie malującego pewne nastroje wyrażenia użył pierwszy jeden z przywódców właśnie owej wahającej się niepewnej grupy przeciwko pasywiŃstwu; że pasuje tak doskonale przedewszystkiem do niego — jak zwykle — nie dostrzegł.

ciężalność Rosji, w niemożność wyrwania Królestwa z jej szpon. Przewycięzione i usunięte przynajmniej częściowo zostało jego psychiczne podłoże: strach przed barbarzyńskim Moskwy odwetem.

Niestety do wypowiedzenia wspólnego słowa i wówczas nie doszło. Przedewszystkiem owe zmiany psychiczne, o których była mowa przed chwilą, przychodziły tak wolno, że przychodziły ciągle za późno. Ołowiane podeszwy przygwoździły, zdawało się, do miejsca to wszystko, co było w Polsce niezdecydowane, wahające się, chwiejne. Trzeba było długich kilku miesięcy, żeby w świadomości szerszego ogółu utrwaliła się pewność, iż między nami a Rosją stoi coś więcej niż mur austrijackich i niemieckich żołnierzy, stoi niemożność pewnych w historii nawrotów. Wolno, przerażająco wolno przychodziła ochota zderzenia z siebie bodajby zewnętrznych oznak niewoli, rozprostowania zgiętego przez niewolę grzbietu, podniesienia do góry czoła. A zanim przyszła ta chwila, okazało się, że nowe czasy przyniosły tylko nową formę ucisku.

Trudno przewidzieć, co byłoby się stało, gdyby wojska niemieckie weszły do Warszawy nie z gestem zwycięzcy, ale z wyciągniętą szczerze ręką oswobodziciela, gdyby na ich czele wkroczyły legjony, gdyby akt 5 Listopada nosił datę o piętnaście miesięcy wcześniejszą. Gdyby nie weszły, jakby wejść mogły do pierwszego lepszego zdobytego miasta rosyjskiego—z odezwą „do mieszkańców Warszawy”, pogrózką kontrybucji i p. Cleinowem w tylnym furgonie, który, nakładając prasie polskiej nowe wędzidła, zapewniał ją z serdeczną obłudą, że o niepodległości Polski pomówi jak najchętniej niebawem—jak tylko to się okaże możliwe — za lat kilkadziesiąt. Być może, iż z wielu względów ów akt dobrej woli, który się podówczas nie spełnił, był na razie przedwczesnym, że nie pociągnąłby opornych, nie przełamał nieufności tych, którzy stali i stać chcieli na przeciwnym biegunie. Ale byłby niewątpliwie w pierwszej chwili oszołomienia przynaglił do szybszej decyzji wszystkich niezdecydowanych, wszystkich tych, którzy już naprawdę w duszach swych z Rosją zerwali. Takich ludzi było dnia 6-go sierpnia w Warszawie znacznie więcej, niżby można było przypuszczać, znacznie więcej, niż dni poprzednich i niż dni następnych.

To się nie stało. Na zwołanym w kilka godzin po wejściu wojsk niemieckich do Warszawy zgromadzeniu działaczy politycznych wszelkich, z wyjątkiem wyraźnie rusofilskich kierunków, próbowano dojść do porozumienia w najskromniejszej, bodajby postaci i, niestety, do porozumienia nie doszło. Chodziło jednak o rzeczy całkiem już zaiste skromne. Chodziło o to, by woli wkraczającego do miasta zwycięzcy, który chciał traktować Warszawę jako prostą zdobycz wojenną, przeciwstawić jej wolę zbiorową, stwierdzającą spokojnie, ale stanowczo, swe prawa historyczne i narodowe. Co się tyczyło formy owego stwierdzenia, treści odezwy, jaką miano w imieniu zjednoczonych grup politycznych rozlepić na murach miasta, ustępstwa lewicy — inicjatorce zebrania — szły istotnie do granic ostatecznych. Odstąpiono od wyrażenia woli wzięcia czynnego udziału po czyjejkolwiek stronie w wypadkach wojennych, odstąpiono od formułowania jakiegokolwiek pod adresem Rosji szczególnej nienawiści, jakiegokolwiek piętnowania jej, jako głównego z trzech zaborców wroga. Żądano tylko stwierdzenia, że Polska chce i ma prawo być wolną i żądano moralnego uznania dla legjonów bez przesadzania politycznej wartości ich czynu. To się jednak wydało zebrany czynem zbyt śmiałym. Dwie grupy opuściły zebranie, a przedstawiciel jednej z nich—Stronnictwa Narodowego, nawiasem mówiąc jeden z obecnych filarów Centrum, zaznaczył z wielkim wzburzeniem, że wprawdzie „i my mamy ideał niepodległości w sercach, ale nie wiemy, czy już czas dziś te ideały ujawniać”. Z tym żalosnym stwierdzeniem „jeszcze nie czas” rokowania rozbiły się.

Jako jedyny rezultat, pozostał wyłoniony z porozumienia pozostałych grup i składający się z 7-miu osób „Komitet zjednoczonych stronnictw niepodległościowych“, obejmujący Unję lewicy niepodległościowej, Konfederację Polską, Zjednoczenie Narodowe („secesję”) i Narodo-

wych Radykałów, w sumie kilka organizacji ludowych, garść młodzieży i trochę inteligencji bez większych wpływów. Komitet wydał odezwę, która ani na Niemcach, ani na ludności nie zrobiła większego wrażenia, jawną bowiem było rzeczą, iż za Komitetem nie stoi żadna siła, z którejby się trzeba liczyć, ani na którą możnaby rachować. Odezwa zresztą była błada, bo i w tym na pozór jednolitym towarzystwie rozbieżności były zbyt duże. Inteligencja (secesja i radykali) uzależniali mocniejszy ton od porozumienia się z Naczelny Komitetem Narodowym, twierdząc, że poglądy z tamtej strony kordonu mogły ulec, a nawet jakoby napewno uległy radykalnej odmianie i że wyrażne przy kimkolwiek opowiedzenie się byłoby politykom polskim w Galicji być może nie na rękę. Dochodziło do tego, że zwroty nawet tak niewinne, jak „bohaterskie tradycje Kościuszki” podlegały parogodzinnej dyskusji i musiały być usuwane. Zaiste, owi tak namiętni później protektorzy werbunku na wojnę z Rosją czekali chwili chrztu wolnościowego w dziwnym zwątpieniu i upadku ducha. Stąd może później tak zwykły u neofitów zapał.

Po kilku dniach bezpłodnych usiłowań określenia wspólnej, wyraźnej linii owe dwie grupy inteligenckie z Komitetu ustąpiły. I choć wysłańcy Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy niebawem w większej liczbie do Warszawy zjeżdżać zaczęli, nie pozostawiali nikogo w wątpliwości, że wojna z Rosją jest w dalszym ciągu podstawą ich programu, o połączeniu ponownym nie było już mowy. Albowiem zaszły rzeczy całkiem nowe.

I w pierwszym roku wojny i już po wzięciu Warszawy Naczelny Komitet Narodowy wypowiadał się kilkakrotnie w sposób najbardziej uroczysty, najzupełniej wystarczająco urzędowy o absolutnej, jego zdaniem, samodzielności politycznej Królestwa. Nie przesadzał jego decyzji, nie chciał mu swojego punktu widzenia narzucać. Warował sobie jedynie, po utworzeniu się kierowniczej instytucji w Królestwie, porozumienie z nią dla wytworzenia wspólnego dla obu dzielnic programu.

Tak brzmiały słowa i więcej niż słowa, bo obowiązujące wszystkich członków uchwały. W rzeczywistości sprawy szły innym nieco trybem. Większość członków Naczelnego Komitetu Narodowego miała na sprawę realizowania ideału niepodległości swoje mocno ugruntowane poglądy. Ze wszystkich sposobów realizacji uznawała ten jeden tylko, który kładł za warunek wstępny przyłączenie wszystkich—czy niektórych bodajby—ziem polskich do Austrii. W ten tylko sposób walka o Polskę nie była buntem przeciw monarchji. Na tej tylko drodze mogły różne eksceleńce nie spotkać się ze ścinającym im krew w żyłach widmem prokuratora i sądu polowego. We wszelkich pertraktacjach, jakie ci panowie mogli prowadzić z Królestwem, ten tylko sposób budowania Polski mógł być przyjęty za wspólną platformę, gdyż każdy inny spychał ich na niesłuchanie dla nich ślizką, drażliwą i niebezpieczną pochyłość—nielojalności względem Austrii. Ale jakkolwiek w kołach lewicy nie było żadnych szczególnych przeciwko Austrii uprzedzeń, trudno było rozpoczynać z nią rozmowę, w którejby się po roku doświadczeń wojennych wszystkie inne wyjścia prócz tego jednego—prócz tryalizmu—zamykało na głucho. Wobec tego nieuchronną było rzeczą przed rozpoczęciem pertraktacji z Królestwem przygotować sobie w nim punkt oparcia w postaci stronnictwa, oddanego tendencjom enkaenowym bez żadnych zastrzeżeń, stronnictwo, które byłoby prostą ekspozyturą istotnych dążeń większości członków Naczelnego Komitetu Narodowego. Takim stronnictwem było Zjednoczenie Narodowe ¹⁾, t. zw. „secesja”. Trudno dziś już ustalić, czy porozumienie pomiędzy przywódcami N. K. N. a kierownikami „secesji” datowało się z czasów wcześniejszych, jakkolwiek już kilka dni przed wzięciem Warszawy w najpoufniejszych w paru ludzi rozmowach kierownicy

¹⁾ Nie należy go oczywiście mieszać z powstałą jesienią r. 1915 grupą łódzką tej samej nazwy, która znów była zwykłą ekspozyturą narodowej demokracji. W osobliwych warunkach, w jakich żyje dziś Polska, przywłaszcza się bez ceremonji wszystko—nawet maski.

„secesji“ przestrzegali gorąco przedstawiciele radykalizmu niepodległościowego, żeby wysuwaniem nadmiernych żądań nie zepsuli możliwości ubicia interesu, który bądź co bądź dla Polski był interesem nie do odrzucenia: przyłączenia Królestwa do Austrii. Pewnym jest to tylko, że wysłańcy naczelnej instytucji galicyjskiej po przybyciu do Warszawy zwrócili się wyłącznie do prawego skrzydła z zupełnym pominięciem lewicy, którą zapraszano na posiedzenie niejako dla formy i za pozwoleniem swych nowych na gruncie warszawskim przewodników i przyjaciół.

Trudno powiedzieć, czy ten sposób postępowania zapewniał programowi krakowskiemu wielkie szanse powodzenia, to pewne natomiast, że pod jego wpływem antagonizm między poszczególnymi kierunkami obozu niepodległościowego wzrastał bardzo szybko. Nigdzie zaś nie wzrastał szybciej, niż na tle najdrażliwszej, najbardziej uwagę grup politycznych zaprzatającej sprawie wojska. Już się były zarysowały w tej sprawie dwa jeszcze nie zwalczające się, ale ostro sobie przeciwstawne kierunki: nieugiętego dążenia do usamodzielnienia naszego czynu wojennego i zdecydowanego, świadomego siebie oportunistu. Już byli stali naprzeciwko siebie dwaj ludzie z tak odmiennego kruszcza odlani, tak odmienną wartości i ciężaru gatunkowego, reprezentujący dwa wręcz przeciwstawne duszy polskiej pierwiastki.

Jednakże dopóki wojsko polskie tworzyć można było tylko drogą ochotniczego werbunku, decydował o wyborze środków nastrój tej przynajmniej części ludności, która dopływem świeżych sił, masowym wstąpieniem do szeregów wzmocnić i rozszerzyć mogła legjony. Zdawało się, że tak wytrawni politycy krakowscy nie pójdą drogą, nie użyją środków mrozących ten nastrój, pogłębiających rozłam, skazujących w razie nieudania się na zmarnienie jedynej ich racji bytu — polskich oddziałów wojskowych. Jednakże poszli. Wbrew woli lewicy otwarto w Warszawie werbunek, podjęty w warunkach nie tylko dalekich od tego, czego społeczeństwo chciało, ale bez mała upokarzających. Werbunek dał fiasco i był przedwcześnie zamknięty. Dnia 1 września pod przemożną presją uboczną wydał Komitet Zjednoczonych Stronnictw niepodległościowych odezwę antiwerbunkową. Rozłam ujawnił się na całej linii.

Pozornie w taktyce polityków krakowskich był zwykły tylko w ludzkich sprawach błąd przeceniania swej siły, zbyt daleko posuniętej chęci zbagatelizowania swego współnika. W rzeczywistości mściły się tu błędy dawniejsze, mścił się grzech pierworodny Naczelnego Komitetu Narodowego. Ryzykując werbunek, dążył Naczelny Komitet Narodowy do utrzymania i wzmocnienia legjonów, które nie były wprawdzie ani jego dziełem, ani własnością, ale były jego racją bytu i podstawą prawną. Mniej mu zależało na ich warunkach prawnopaiństwowych, na ich aspiracjach i ideałach, to bowiem uważał za sprawy albo drugoplanowe, albo nawet wręcz dla niego nie do przyjęcia, gdy chodziło o zbyt radykalne usamodzielnienie się. Nie chodziło też o wzrost zbyt wielki, który w pewnym momencie mógł grozić przeniesieniem punktu ciężkości poza sferę jego wpływów. Gdyby natomiast zgodził się na wysunięcie żądań takich, jakie stawiała lewica, byłby wygrał czy przegrał sprawę usamodzielnienia legjonów, ale przedewszystkiem straciłby rację bytu, jako pomost pomiędzy polskimi aspiracjami wolnościowymi a austriacką racją stanu, tak jak ją ówczesne sfery kierownicze pojmowały w stosunku do Polski. Tak sprawy stawiać ze swojego klasowo-galicyjskiego punktu widzenia nie mógł i dlatego werbunek, choćby jako znak dobrej woli i lojalności dla monarchji, musiał otworzyć. Gdy zaś radykalizm niepodległościowy nie mógł również powstrzymać się od formułowania pewnych postulatów zasadniczych polskich, przepaść między nimi otworzyła się sama przez się i nie zależało bynajmniej od zręczności czy dobrej woli przywódców, żeby tę przepaść zasy-pać. Obie strony nie mogły iść w ustępstwach aż do zaparcia się swej istotnej treści.

Próby zjednoczenia obozu niepodległościowego, tak niefortunnie rozbite przy sprawie wojskowej, podejmowane były tym niemniej parokrotnie jeszcze przez obie strony. Z pierwszą co do czasu inicjatywą wystąpił odłam prawy, wysuwając zresztą jako inicjatorów starannie zamaskowane osoby prywatne. Przy niewątpliwiej dobrej woli lewicy, która wbrew swojej na-

turze okazywała aż nadto daleko idącą ustepliwość, pertraktacje szły z początku łatwo i szybko. Szło o doprowadzenie do skutku pomysłu, który się w Warszawie kołatał od początku wojny, o utworzenie ogarniającej wszystkie stronnictwa zwierzchniej w kraju władzy moralnej—Rady Narodowej. Celowo i świadomie wyłączono z obrad te grupy, które się, jak twierdzono, same postawiły poza nawiasem życia narodowego: endecję i esdeków. Grupy pozostałe dzieliła nie tyle kapitalna różnica poglądów, ile stopień natężenia wiary w celowość i konieczność podjęcia w danym momencie wspólnego wysiłku. Ostatecznie okazało się, że z małemi wyjątkami wszystkim tej wiary brakło zbyt wiele. Kolejno, od prawego ku lewemu idąc, odpadały jedna za drugą grupy, bez których udziału szanse zjednoczenia całej polskiej opinii malały z dnia na dzień. Zaczęło się od realistów, później odpadły kolejno różne grupy centrowe, których dusze partyjne utkane są, zdawało się, z samych wahań i wątpliwości. Została lewica, „secesja“ i garść osób bezpartyjnych. Po ustaleniu z niesłychanym mozolem tekstu wspólnej deklaracji, gdy już dokument leżał na stole a pióro tkwiło w kałamarzu, zaczęto się utartym zwyczajem wysuwać pośpiesznie za drzwi. Zebrano 20 czy 30 podpisów, z tych znaczną część z zastrzeżeniem, że ich w tak szczupłym komplecie ogłaszać nie wolno. Impreza nietyle upadła, ile się dosłownie rozpełzła.

Drugą próbę w początkach listopada podjął Komitet Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych. Próba była bez wszelkich szans powodzenia. „Secesja“, której węzły przyjaźni z Naczelnym Komitetem Narodowym, ściślej mówiąc z jego Departamentem Wojskowym, zacieśniały się z dnia na dzień coraz mocniej, za nieodzowny warunek wytworzenia wspólnej instytucji stawiała podjęcie werbunku i wogóle przyjęcie jej programu „tryalistycznego“. Gdy warunek był nie do przyjęcia, pertraktacje zerwano, zerwano nawet z uczuciem, że się rozdział pogłębił.

Tym niemniej próby te miały pewne skutki dodatnie. Po pierwsze, ratując się od depresji i upadku, obie strony wyteżyły siły dla przyciągnięcia ku sobie nowych zwolenników i obu stronom się to względnie udało. „Secesja“, pociągnawszy ku sobie parę grup centrowych, przekształciła się w Ligę Państwowości Polskiej. Komitet Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych, oparłszy się na dość licznych i żywych lokalnych kołach i komitetach narodowych, wytworzył wspólnie z nimi Centralny Komitet Narodowy. Żywioty bierności i oporu nowemu porządkowi rzeczy zjednoczyło Międzypartyjne Koło Polityczne na tle zupełnego rozproszkowania i to było już pewnym krokiem naprzód.

Po wtóre—kontury programów partyjnych zaczęły się zarysowywać dużo wyraźniej. Dawny podział Polski—nie możemy powiedzieć walczącej, ale Polski cierpiącej na rusofilów i zwolenników państw centralnych—okazał się już nieaktualnym. Rusofile w braku punktu oparcia przekształcili się na „neutralistów“, w obozie niepodległościowym zapanowywał coraz widoczniejszy rozdział na dwa przeciwstawne i zasadniczo wyłączające się kierunki. Jeden dążył do wolności nie czynu wprawdzie, bo o wolnym czynie pod bezdusznym szablonem okupacyjnym nie mogło być mowy, ale przynajmniej do wolności decyzji w pewnym momencie i do bezwzględnej czystości haseł, drugi wiązał się z określoną z góry koncepcją, naginając do niej nietylko najwyższy ideał narodowy, ale postęпки dnia powszedniego, które dla przyszłości kraju mogły się okazać niezbyt bezpieczne. Coraz wyraźniej zarysowywała się groźba nowego rozbioru w razie jednoczenia ziem i interesów polskich koło ośrodka, który dla utrzymania ich i zjednoczenia był nazbyt słabym. Z dawnej przeciwstawności dwu poglądów wyrastał nowy układ w kształcie trójkąta. Dla radykalizmu niepodległościowego było niewątpliwie rzeczą dość obojętną, z jaką formą ugody miał walczyć, zwłaszcza gdy ugoda z Rosją, mniej realna obecnie, była na razie mniej groźną. Życie przytym szło swoją twardą zaiste koleją. W miarę jak rozkład i niedołęstwo militarne Rosji ujawniały się coraz wyraźniej, rozwiewało się niejedno z uprzedzeń, miękkie najtwardsze wstręty. O niepodległości zaczętno mówić na-

wet tam, gdzie do niedawna słowo to uważało się za prowokację. Był to oczywiście ideał całkiem nie z tego świata i w imponujących na cześć jego obchodach nie było nic, co by mogło znaleźć zastosowanie w życiu codziennym. Tym niemniej odległość między lewicą a zwolennikami neutralności zaczęła się zmniejszać i coraz mniej rażąco różnić się od tej odległości, jaka dzieliła dwa obozy niepodległościowego. Trójkąt coraz bardziej stawał się równobocznym, czego zresztą najpierwszym skutkiem była jego doskonała nieruchomość.

Skądże zresztą w takich warunkach miał się wziąć ruch jakikolwiek? Wszelkie wnioski, wszelkie programy były, biorąc praktycznie, niemal równej wartości, skoro wszystkie jednako były najsurowiej policyjnie i cenzuralnie skazane na milczenie. Nie było żadnej racji twierdzić, że jeden z nich jest lepszy niż inne, skoro żaden nie prowadził gdziekolwiek. Trwać i czekać martwo można było również w rozsypkę. Przypuściwszy, że cała opinia polska zjednoczyła się na najbardziej aktywistycznej podstawie, posuwało to sprawę nie o wiele naprzód, skoro najruchliwsi Polski synowie wędrowali przymusowo — nie przechodząc przez pola bitew — do obozów jeńców cywilnych.

To też w ciągu tego całego długiego okresu nie tylko ani razu nie było istotnych warunków, w którychby się myśl polska mogła zjednoczyć, ale świadomość tego nieuchronnego rozbicia utrzymywała się coraz mocniej. Po niefortunnie i dość niezręcznie podjętych próbach konsolidacji ogólnej w epoce utworzenia rady miejskiej w Warszawie brakło już nawet komukolwiek ochoty do podejmowania prób dalszych. Nastrój, równie jak sytuacja ogólna, stawały się gorzej niż ciężkie — stawały się beznadziejne.

Nowym czynnikiem, do którego całe życie musiało się odmiennie ustosunkować, był dopiero akt 5 Listopada. Z obłoków, bardzo zresztą szarych, mokrych i zimnych, zaczęto schodzić na ziemię.

Przedewszystkim odbiło się to na obozie czynu. Doniosłość momentu dziejowego, który koncepcjom politycznym nadawał kształty widoczne, szerokość widnokręgu, który, zdawało się, można z tego punktu widzenia wzrokiem ogarnąć, zrobiły niebawem swoje. W dziesięć dni po akcie listopadowym nastąpiło zjednoczenie wszystkich odłamów obozu aktywistycznego — powstała Rada Narodowa. Do powstania jej dwa głównie przyczyniły się momenty. Po pierwsze stał się nieaktualnym tak ostry do wczoraj spór co do wyboru jednego z dwu zaborców zachodnich, jako punktu oparcia, przy rozpoczęciu budowy państwa polskiego. Wyboru dokonano w naszym imieniu, choć bez naszej wiedzy i woli, i nie pozostawało, jak przyjąć go lub odrzucić. Gdy jednak strona, szukająca dotychczas innych rozwiązań, nawróciła się na nową wiarę z bezprzykładną szybkością, kwestja przestawała być kwestją. Po wtóre zmienił się zasadniczo stosunek Polski do okupantów. Gdy dotychczas pod uciskiem przemożnej woli obcej była i mogła być Polska tylko bezkształtną masą, stawiającą bierny opór, teraz rozpoczynała się gra polityczna i w grze tej było niedopuszczalnym, żeby zwarta i świadoma siebie wola okupanta miała pchać przed sobą rozpieczętęły i skłócony tłum partji polskich.

W obozie neutralistów wrażenie aktu 5 Listopada, mniej może ujawnione na zewnątrz, było tym niemniej również w pierwszej chwili głębokie i silne. Pomimo wszelkie słowne i papierowe protesty, pomimo pozorną niezłomność zasad zbyt wielkie 5-y Listopada dawał przeciwnikowi w rękę atuty, by można było trwać w biernym oczekiwaniu. To też gdy przyszło do formowania listy członków Rady Stanu, Międzypartyjne Koło Polityczne, naczelna instytucja pasywizmu polskiego, zgłosiło swój współudział. Pomimo wszelkie zastrzeżenia co do swojej w przyszłej Radzie Stanu liczebnej przewagi, pomimo skandaliczne do okupanta petycje, mające na celu obcięcie kompetencji pierwszej polskiej instytucji państwowej, fakt pozostawał faktem, zwłaszcza gdy w zapale targu odstępowano od wszelkich zastrzeżeń, pozostawała zaś naga tylko chęć wzięcia udziału w pracy, której się dotąd zaprzeczało wszelkiej wartości. Pomimo wszystko, co się mówiło przedtem czy potem, jest rzeczą niewątpliwą, że ten wielki

bądź co bądź moment dziejowy wstrząsnął wszystkimi w Polsce grupami, że się zawahały, oddając czyny swoje cichej, choćby nieświadomej, rewizji, kierunki nawet najbardziej w stosunku do niego odporne. Mniejsza o to, czy to był głos sumienia, ostrzegającego przed ślepym doktrynerstwem, czy chłodne rachuby osobiste, wykazujące, jak łatwo w chwili zmian wielkich można całkiem wypaść z kolei. To pewna, że jak w roku ubiegłym d. 6 sierpnia sprawił 5 listopada wielkie i widoczne w społeczeństwie polskim wrażenie, żeby nie powiedzieć oszołomienie, i że moment ten można było wygrać, łagodząc, jeśli nie niwecząc, na swoją korzyść antagonizny programów, gdyby nie nastąpiło to, co nastąpiło i co od woli polskiej zgoła już było niezależne; gdyby praktyka kilku następnych miesięcy nie oświeciła tak jaszkrawo rozbieżności polsko-niemieckich w pojmowaniu tak prostego i jasnego pozornie terminu: „realizacja aktu 5 Listopada“; gdyby tym samym ten wielki atut, który akt listopadowy zdawał się kłaść w ręce aktywistom, atut natychmiastowej możliwości czynu—nie wypadł im z ręki.

Na pozór mogło się wydawać, że i ten nowy zawód dopomoże do zjednoczenia opinii polskiej. Skoro obu ideałom—ideałowi zjednoczenia ziem polskich, którego miała dokonać Rosja, i ideałowi niepodległości, realizowanej przez pomoc państw centralnych, zaprzeczyło tak gorzko życie, stało się rzeczą nie tylko wskazaną, lecz łatwą, zejść się, dokonawszy nieuchronnej rewizji swoich pierwotnych poglądów, na terenie pośrednim, na podstawie wiary w prawo do życia, przysługujące Polsce niezależnie od wszelkich czynników zewnętrznych. Sprawa tym łatwiejsza, gdy po przewrocie, jaki się dokonał w Rosji, obrona kraju przed jej inwazją przedstawiała być aktualną, gdy po deklaracjach petersburskich na rzecz niepodległej Polski spór polsko-rosyjski tracił nieco na swej ostrości i nie przesłaniał już sobą wszystkich innych zagadnień polskiego życia politycznego. Zagadnieniem najbardziej palącym stawało się teraz przede wszystkim stwierdzenie przez samą Polskę swoich praw do wolności, poza tym zaś wyciągnięcie stąd najbezpośredniejszej konsekwencji w postaci jakiegokolwiek naczelnego organu polskiego, któryby w zapasach światowych wywalczył dla Polski stanowisko strony i któryby, będąc genetycznie wolnym od jakichkolwiek wpływów obcych, przygotowywał grunt do przyszłych widomych form niezawisłości narodu polskiego. Oczywiście, gdy w początkach zwłaszcza potężnej sile materialnej obcej przeciwstawić można było ze strony Polski tylko siłę moralną, warunkiem wstępnym podjęcia akcji musiało być możliwie daleko idące ujednolicienie, możliwie doskonała zwartość frontu polskiego.

W tym celu i tak rozumiane podjęte zostały na wiosnę roku bieżącego rokowania międzypartyjne dla wytworzenia w kraju nowego ośrodka siły. Nigdy sprawy te nie wydawały się tak blizkimi końca. Ze strony inicjatorów rokowań — grup aktywistycznych — wnoszono do nich nie tylko najszczerze przekonanie o konieczności usunięcia rozdzźwięków, ale i niewątpliwą chęć istotnego uniezależnienia sprawy polskiej od jakichkolwiek z góry przesadzonych założeń, umów, sojuszów i sposobów realizacji, chęć wprowadzenia jej na płaszczyznę zupełnej neutralności, skąd dopiero rozwój wypadków i wola przedstawicieli narodu mogłaby ją skierować w określonym kierunku. Jedynym warunkiem, ponad którym już nie można było przejść do porządku dziennego, była wola natychmiastowego rozpoczęcia budowy państwa; jedynym zastrzeżeniem, narzucanym przez zdrowy rozsądek, było nieomijanie z góry postanowione czynników okupacyjnych przy próbach realizacji programu.

Te właśnie tak skromne, zdawałoby się, warunki i zastrzeżenia rozbiły rokowania. Z długich, dość krętymi drogami prowadzonych dyskusji wyniosło się wrażenie, że stronnictwa pasywistyczne do budowania Polski w dzisiejszych warunkach i na terenie okupowanego Królestwa dopuścić stanowczo nie chcą. Z logiką godną lepszej sprawy dowodziły, że wyniki dokonanego zjednoczenia opinii polskiej musiały doprowadzić albo do ostrego oporu względem okupanta, albo do wejścia z nim w pewne umowy, do uzyskiwania dla Polski zdobyczy drogą kompromisu. Obie ewentualności napełniały je szczerem przerażeniem i nieklamany wstrętem.

O mocnym oporze czynnym nie mogło być oczywiście mowy dla ludzi, którzy z urodzenia, z nałogu, z pozycji społecznej od niczego dalsi nie byli, niż od chęci skręcenia sobie karku w imię tego, co całe życie uważali za mrzonkę. Pomimo całej swej zresztą nienawiści do pomysłu oparcia się o państwa centralne ludzie ci przy chętniej gotowości reakcyjnie przeważnie usposobionych władz okupacyjnych potrafili wejść z nimi poza kulisami wszelkich programów w całkiem znośne stosunki i dziś nie uśmiechało im się zgoda z tego osobliwego stanu posiadania cośkolwiekbać tracić. Wchodzenie wreszcie w jakiegokolwiek z okupantem umowy, uzyskiwanie bodajby największych na tej drodze dla Polski rzeczy trwożyło ich widmem zemsty byłego pana, gdyby mu tu zmienne szczęście wojny pozwoliło powrócić. U niektórych wśród nich działały pewne całkiem uczuciowe, zgoda nierozumowane wstręty i uprzedzenia do „odwiecznego wroga“ przy całkowitym oczywiście zapomnieniu własnych romansów z dnia wczorajszego z innym odwiecznym wrogiem. Prawie wszyscy nie chcieli rozpoczynać budowy państwa i tworzenia rządu ze względu na nieuniknioną niepopULARNOŚĆ rządu, któryby nie umiał głodnych rzesz nakarmić. Nie brakło zresztą i takich — i to w ilości bynajmniej nie najmniejszej — którzy gotowi byli do pewnego czynu, do pewnych przynajmniej nadziei, tęsknot i aspiracji, ale lokowali je całkowicie po tamtej stronie rowów strzeleckich, przy armji polskiej, która by tam radzi utworzyć, przy tajnym czy jawnym rządzie, którego by tu chcieli być przedstawicielami. Wszyscy razem gotowi byli iść z obozem aktywnym do rozwalania pewnych rzeczy, do wyłaniania stałych komisji, któreby w braku lepszego zajęcia układały nowy katechizm patryjotyczny, do wspólnego w Polsce i na rzecz Polski nic nie robienia przy równoczesnym uzyskiwaniu od okupantów do własnego wyłącznie użytku koncesji na pewne instytucje apolityczne (aprowizacja np.), któreby im dawały nieco więcej siły przyciągającej i nieco pośredniego wpływu na rozwój wypadków. Program biernego oczekiwania wypadków posuwali tak daleko, że neutralność chcieli zastosować przedewszystkim do Polski, gotowi ją przyjąć, o ileby została narzucona i policyjnie nakazana, byle bez najmniejszego z ich strony wysiłku. Jako maximum ustępstw zgadzali się na istnienie przeciwległego obozu, któryby całkiem już szachrajsko-giełdziarską modę stanowił reasekurację na wypadek, gdyby ich program przegrał.

Przy takich poglądach nie mogło i zawsze zapewne na szczęście nie będzie mogło dojść do porozumienia. I nie tylko w takich warunkach chimera pozostanie zagadnienie jedności narodowej, ale, jak wolno mieć nadzieję, nie dokoną się przeciągnięcie przyniatającej większości opinji na niefortunne podwórko programu bierności. Mimo wszystko pewne hasła okrzepły już w kraju dość mocno, by nie pozwolić ludziom nie dostrzec, na jak beznadziejnie błędne drogi ów program prowadzi. Jego siłą, jego resztką sił jest dziś już tylko wyzyskiwanie opozycyjnego nastroju przeciwko twardym rządóm okupacyjnym. Gdy jednak na opozycję tę niewątpliwie obóz bierności nie ma już dziś monopolu, gdy poza nim opozycję tę potrafi kto inny formułować lepiej i śmiej, może on znaczyć cośkolwiek tak długo, dopóki skutek istniejących warunków nie może być mowy o pracy pozytywnej. Ze zmianą warunków przy pierwszym śmielszym kroku obóz ten, sklejonny ze składników niesłychanie niejednorodnych, rozpadłby się zapewne odrazu.

Na swoją pociechę może co najwyżej stwierdzić, że żadna z innych grup polskich tej siły atrakcyjnej nie posiada wiele co więcej. Napewno nie posiada jej Liga. Liga, czyli to raczej, co jest jej istotą i jądrem, dawna narodowo-demokratyczna „secesja“, miała już czasu wojny swoje wielkie tryumfy i zawsze te tryumfy kończyły się całkiem niezaszczytną porażką. Po wzięciu Warszawy uzyskała pomoc, środki, organizację — ludzi, pomysły i pieniądze — od najpotężniejszej owego czasu w Polsce instytucji — Naczelnego Komitetu Narodowego. Po rozbiciu jesienią r. 1915 rokowań, mających zjednoczyć obóz niepodległościowy, przekształciła się w Ligę, wciągając pewną ilość sił świeżych i sprężystych, przeważnie różnych uciekinierów

ze sfer radykalnych. Wszystko to skończyło się fatalną porażką w sprawie werbunku i jawną klęską pomysłów tryalistycznych. Po utworzeniu Rady Stanu, nie tylko oświadczyła znaczną częśćią będących w niej do dyspozycji godności, ale zaszczerpiła jej swoją myśl polityczną, swoje metody działania. W rezultacie rozbiło to Radę Stanu i zrobiło z niej najniepopularniejszą w Polsce instytucję. Ostatnią próbą jest utworzenie t. zw. Centrum narodowego przy nowym dość znacznym zagarnięciu głośniejszych w życiu politycznym jednostek.

Wszystko to są jednak raczej miraży siły, niż istotny i zdrowy rozwój. Akcesy nowych osób są, jak się zdaje, po prostu zwykłymi zapisami na akcje mającego powstać przedsiębiorstwa. Grupa, która d. 5 Listopada zdała z najfatalniejszym wynikiem egzaminu swej przenikliwości politycznej, a w dzień potym dowiodła niesłychanej elastyczności swego programu, która w okresie budzących się ruchów socjalnych niema żadnego programu społecznego, programów politycznych ma natomiast tyle, ile ich wymagają zmienne warunki chwili, grupa środka, która chce tworzyć wojsko, zapędzając do niego lewicę, i skarb, fundowany ofiarnością prawicy, sama w obu wypadkach własne hasła traktując jak puste dźwięki, która wreszcie żyje ze stałego obniżania ceny polskiego obiektu przed okupantem, który za niego nic płacić nie chce—taka grupa nie ma na szczęście większych widoków na zjednoczenie koło siebie szerszej opinii polskiej. Zmieni jeszcze może sto razy nazwę i będzie w Polsce wieczną, jak jest wieczną w niej wszelka słabość, wszelkie branie przeszkód przez przechodzenie pod nimi albo wręcz omijanie. Ale jądrem i ośrodkiem Polski, dopóki ta Polska żyje, nie będzie ¹⁾.

W jednym tylko wypadku wpływy Ligi mogłyby wzrosnąć znakomicie, bodajby na czas krótki. W tym mianowicie, gdyby okupant nie tylko obrał ją za swoje narzędzie, ale za pomocą tego narzędzia chciał istotnie dokonywać pewnych rdzenia sprawy sięgających ustępstw, gdyby zaczął przez nią budować Polskę naprawdę. Rzecz mało prawdopodobna, kroki takie bowiem byłyby pewnym ustępstwem przed presją, wszelka zaś presja w kierunku mocniejszego jest czymś zasadniczo przeciwnym istocie i naturze Ligi. Poza tym może Liga przyciągać i niewątpliwie przyciąga, pewną ilość dusz uczciwych, lecz słabych, dusz umęczonych niestałością tego wszystkiego, co się dziś dzieje w Polsce, i pociągniętych pozorną pozytywnością programu, który mimo wszystko usiłuje w tej niestałości szukać jakiegoś punktu oparcia, usiłuje budować Polskę bodajby po kawałku. Nabytki takie nie będą jednak prawdopodobnie ani zbyt liczne, ani zbyt trwałe, gdy rzeczą jest oczywistą, że owo kawałkami budowane sklepienie może w każdej chwili runąć, dopóki się go nie zwiąże kluczem sklepiennym, i gdy co do niektórych przynajmniej budowniczych ma się wątpliwość, czy im chodzi o samą budowę, czy o wzięcie za budowę zapłaty.

Pozostawałaby lewica. Ale lewica, z wyjątkiem okresów rewolucyjnych, nigdy i nigdzie nie służy za ośrodek, skupiający dokoła siebie pozostałe części społeczeństwa. Nie udało jej się to i u nas i może właśnie dlatego nie udało, że sobie tak bardzo tego życzyła. Był to zaiste nie kończący się szereg nieporozumień, rozczarowań i błędów. Co najgorsza, było to całkiem groźne zgubienie swej własnej drogi. Dopóki radykalizm polski był w najbardziej ponurą, najbardziej beznadziejną noc stróżem świętego znicza, dopóki szedł na pola bitew składać pierwszą daninę krwi, dopóty był z samym sobą i z Polską w porządku i dopóty pod te sztandary mógł nawoływać ludzi ze wszystkich obozów. Ale gdy chciał iść dalej i jednoczyć dokoła siebie za wszelką cenę opinię kraju, dopuścił się dwu ciężkich omyłek. Po pierwsze, podjął się zadania, które było ponad jego siły, bo w Polsce, jak wszędzie zresztą,

¹⁾ Od czasu, kiedy te uwagi zostały nakreślone, zaszły pewne zmiany i przesunięcia się w ugrupowaniach politycznych. Po wyjściu bardziej opozycyjnie nastrojonych członków Ligi z Centrum i po zatrzymaniu przez nich nazwy tej grupy, uwagi powyższe stosują się oczywiście przedewszystkiem do najbardziej dziś ugodowo w Polsce nastrojonego ośrodka—do Centrum.

zawsze będzie aż nadto wielu ludzi, którzy z nim w jednym szeregu nie staną właśnie tak długo, dopóki on z niego nie wyjdzie. Po wtóre, co gorsza, że, chcąc ociągających się zachęcić, zaczął przestawać być sobą. Zapomniał, że zadaniem każdego radykalizmu, a więc i radykalizmu polskiego, jest być twórczym fermentem, taranem, który rozbija, albo tamą, która chroni potok od rozlania się w bagno, ale nie więcej. Może wytwarzać hasła, które jutro cały naród przyjmie za swoje, i musi z niezłomną energią walczyć, by przyjął je jak najlepiej. Ale źle jest, kiedy, wbiwszy sobie w głowę fikcję jednomyślności, zacznie hasła te okrawać, żeby się naćieszyć widokiem, jak dziś już inni je adoptują; wątpliwą jest bowiem rzeczą, czy doczeka się tej uciechy doraźnej, natomiast jest niemal pewnym, że jutro może narodowi zbraknąć siły popędowej w wystarczającej ilości. W każdym narodzie musi być ktoś, kto posiada żmudną sztukę sprawnej i wydajnej pracy codziennej, i ktoś, kto mu nie pozwoli zmechanizować się i zasnąć przy tej robocie. Lewica, która chce być wszystkim, przestaje być lewicą i, będąc złym psem, który chce udawać grzecznego kotka, w ostateczności jest niczym. Przykładów możnaby przytoczyć aż nadto wiele. Gdy w grudniu roku zeszłego przystępowano do tworzenia Rady Stanu, lewica to czy ludzie z lewicy preforsowali w Radzie Narodowej pogląd, że iść do Rady Stanu można razem z pasywistami albo nie iść wcale. Miało się w ten sposób wytworzyć jednolity front polski, i było to nawet bardzo piękne pod warunkiem jednak, że będzie wykonalne, i że nie odwiedzie od celu, do którego się szło bezpośrednio. W rzeczywistości pasywiści do Rady nie weszli, kompromis nie doszedł do skutku, Rada Narodowa natomiast nie zdobyła się na twarde zastrzeżenie wyłącznie swoich praw i pozwoliła na przetargi, które się najfatalniej odbiły na przyszłym Rady Stanu stosunku do okupanta. Drugim przykładem było przewlekanie decyzji co do zerwania z polityką Rady Stanu. Zmajoryzowana i zlekceważona od pierwszej chwili mogła się lewica w Radzie Stanu ratować jedynie bardzo twardym, bardzo mocnym stawianiem swych postulatów od pierwszej chwili, wzmacniając tym nietylko swoje stanowisko, ale i ogólny ton instytucji. Szeregiem nie kończących się dyskusji, drobnych sporów o rzeczy błahe i nie klejących się kompromisów zmarnowała te pierwsze, te jedyne chwile, pozwoliła Radzie Stanu obniżyć swój lot i sama go z nią obniżyła i wyszła o parę miesięcy za późno, kiedy już to wyjście było faktem bez żadnego znaczenia.

Przy takiej taktyce, doprowadzającej do zniechęcenia we własnym obozie, nic dziwnego, że instytucje, tworzone przez lewicę z wielkim rozmachem, z dużym nakładem pracy, niszczejają i wiedną niebawem, że siła atrakcyjna organizacji jest słaba. Rzecz jednak szczególna, że idee, puszczane przez nią w kurs, idee oporu obcej przemocy, idee niezawisłości i życia na własną rękę, rozwijają się samodzielnie i zyskują coraz szersze uznanie. Koła sympatyków lewicy wzrastają codziennie, koła zorganizowane natomiast trwają bez zmiany, jeśli nie maleją. Przypuszczać można, że śmiała, mocna i zupełnie wyraźna polityka warstw kierowniczych położyłaby kres temu osobliwemu zjawisku niezwłocznie. Ludzie dziś w Polsce tęsknią nietylko do konkretnych form pracy, ale i do jasno sformułowanych celów, do metod, któreby się nie gubiły w wahaniach i wątpliwościach.

O tym wszystkim należałoby pamiętać tym więcej, im bardziej dzień jutrzejszy może być mniej podobnym do tego, co dotychczas przyniosła nam wojna. Rozpoczęto ją pod znakiem odsunięcia poza wszelki już, najdalszy nawet plan hasła społecznych. Dziś, gdy węzeł wypadków dziejowych zaplątał się tak mocno, że go żaden miecz rozciąć nie może, najbardziej w Europie autokratyczne rządy zaczynają odczuwać, że ster wypada im z ręki, że stare płomienie zaczynają buchać z podziemi, że nadchodzą nowe czasy i nowi muszą nadejść ludzie. Otóż w zastosowaniu do Polski te nowe czasy są drugim, jedynie teoretycznie biorąc możliwym wypadkiem, w którym zjednoczenie opinii dokonać się może. Pierwszym była taka zmiana warunków zewnętrznych, przy której sprawa polska drogą posunięć dyplomatycznych postawiona zo- stałaby mocno i szczerze na drodze do swobodnego, do istotnego rozwoju — zmiana, któraby

rozpoczynała istotną budowę państwa, któraby przy niej skupiła wszystkich w Polsce ludzi dobrej woli i nieleniwej ręki. Ta zmiana nie nadeszła. Nie zdobyła się na nią i zdobyć się nawet nie mogła Rosja, państwa zaś centralne zdobyły się w sposób chwiejny, dwuznaczny i nie budzący przez to ufności. Gdyby się nawet w przyszłości zdobyły, pamiętać trzeba, że każda idea w historii ma swój moment właściwy, i że ten moment jest już, jak się zdaje, za nami, co najmniej zaś mijamy go właśnie w tej chwili.

Pozostaje druga możliwość: wielkie prądy demokratyczne, które położyły kres niedorzecznym już dziś rzeziom, ale zarazem dążyć będą do gruntownej przebudowy wszystkich gmachów państwowych, wszystkich urządzeń społecznych. Idea ta, która się wydawała śmieszną jeszcze przed rokiem, dziś zaczyna być jasną dla ślepców, a trzy lata wojny oduczyły już zbyt najtwardszych nawet dogmatyków od uważania rzeczy za niemożliwe dlatego tylko, że nie są codziennym ich myśli szablonem. Te nowe prądy nie tylko odrzucają precz wszelkie o aneksjach i odszkodowaniach pomysły, wszelkie o zmiażdżeniu przeciwnika marzenia, ale niewątpliwie one jedne będą w stanie zdrowo i uczciwie postawić sprawę małych i uciskanych narodów, na tak długo przynajmniej, dopóki nie zwyrodnieją, jak wyrodnieje i wiednie wszystko na świecie.

Takie prądy muszą powstać i w Polsce, która wczoraj w imię fikcyjnej neutralności nie chciała wpleść się w koło wypadków dziejowych, dowiodła zaniku poczucia państwowości, dowiodła, że jest chorą. Polska, któraby jutro nie wzięła udziału w nowej wiośnie ludów, dowiodłaby, iż w niej zastygły nie tylko tradycje państwowości, ale soki wewnętrzne, dowiodłaby, że jest martwą.

Oczywiście, nowe czasy nie będą sielanką, nowi ludzie będą ludźmi o szorstkich dłoniach i krzykliwych głosach. Jest więcej niż prawdopodobne, że te nowe czasy, metody i ludzie nie wszystkim się spodobają w Polsce, że będą tacy, którzy przez interes, przez instynkt dziecięcy pokoleniami, przez nałogi myślowe i anemję ducha będą do nich żywili nieprzeciętną odrazę. Mielśmy tego przedsmak, gdy pierwsze wieści o rewolucji rosyjskiej z nieuniknionymi tam hasłami podziału ziemi i wywłaszczenia czy rabunku klas posiadających popychały najbardziej zdecydowanych moskalofilów w objęcia okupantów, niezłomnych stróżów „ładu i porządku”. Rozłam więc pozostanie.

Ale marzenia o zupełnej jednomyślności są wogóle marzeniami podlotków. W dzisiejszym społeczeństwie o złożonych duszach i niemniej skomplikowanych umysłach jednomyślność zupełna może nastąpić albo w sprawach pomniejszych albo na tle powszechnej apatii. Ten drugi wypadek—to „złota zgoda” w imię zaniechania wszelkiego czynu, którymby sobie można robić nawzajem przykrość, zdarzał się już w Polsce niejednokrotnie. I najczęściej były to dni żałoby i hańby.

Nie w tym sprawa, żeby się wszyscy na jedno zgodzili, jeno w tym, żeby była grupa, która będzie zupełnie jasno wiedziała, do czego dąży, dążyła do celu z całym, na jakie ją stać, wytężeniem sił i miała za sobą ów łut szczęścia, owe warunki zewnętrzne, bez których wszelka praca polityczna jest biciem głową o mur. Gdy to nastąpi, umilkną drobne swary i tak trwożąca różnych krytyków sieć strumieni partyjnych zleje się w jednym, z żywiołową siłą rwącym potoku.

*

*

*

Te końcowe ustępy, pisane w lipcu roku bieżącego, mogą się już dziś w połowie września wydawać pozornie nieaktualnymi. Po wydaniu patentów rządów okupacyjnych, zmierzających do utworzenia istotnego w Polsce ośrodka organizacji państwowej, niema wątpliwości, że wkra-

czamy ponownie na drogę bardziej pokojowego, bezpośredniego realizowania naszej idei państwowej.

Dokąd jednak po tej drodze zajdziemy? Któż może dać na to odpowiedź po doświadczeniach ostatnich kilku miesięcy? Kto może przewidzieć, jaką istotną treść włoży życie w te martwe kawałki papieru?

Teoretycznie biorąc, są dwie możliwości. Albo—o ile chęci państw centralnych są szczerze, o ile społeczeństwo polskie zdobędzie się na poknięcie pewnych form przykrych dla pozyskania realnych zdobyczy, akty wrześnieowe staną się zawiazkiem, dokoła którego łączyć się i rozrastać będzie to wszystko, co dąży do bezpośredniej odbudowy ojczyzny. Albo też—o ile przeżyjemy jeszcze jeden zawód—różnice i przeciwieństwa pogłębią się, pogłębią się tym znaczej, im większe będzie rozczerowanie.

Klucz od zjednoczenia opinii nie leży w naszym ręku, leży w ręku mocarstw centralnych, ściślej mówiąc tych warunków, jakie nam mogą zaproponować i stworzyć dla rozwinięcia realnej pracy. W ten sposób wszystko się sprowadza do zagadnienia bardzo prostego: budowa państwa z okupantami, albo budowa pomimo nich. Ale budowa pomimo okupantów siłą rzeczy będzie musiała być budową wbrew okupantom i na dalszym widnokregu tej drogi stoją niewątpliwie formy walki bezwzględnej i ostrej.

W jednym i drugim wypadku zjednoczenie sił i myśli narodu polskiego mogą dać jedynie programy wyraźne, idące śmiało naprzód, sięgające daleko w przyszłość. Formy mdłe, formy bierności nie tylko nie zjednoczą opinii, ale przyczynią się do jej krańcowego rozbicia.

Warszawa, wrzesień, 1917.

PRAWOTWÓRCZOŚĆ OKUPACYJNA.

Uporządkowanie stosunków prawnych w okresie okupacji wojskowej należy do rzędu zagadnień, które przypominają nierozwiązalny problemat kwadratury koła. Bezwzględna dowolność zwycięzcy, swoiste pojmowanie celów politycznych, liczenie się z t. zw. koniecznościami wojennymi miarkowane są ogólnikowemi, niedokładnemi, na dwoistą nawet wykładnię zezwalającemi normami prawa międzynarodowego. Normy te nie są szrankami samowoli, nie są oraz podmiotowemi prawami ludności kraju zajętego. Jeśli nawet najeźdźca normy te szanuje—praworządność taka będzie prekaryjną. W każdej chwili najśluszniejsze nawet pretensje ludności, na niewzruszonych przepisach konwencji oparte, mogą być uznane za bezpodstawne: bowiem konieczność wojenna wyższa jest ponad wszelkie względy prawne. Świadomość prawna ludności krzywdę tę boleśnie odczuwa: charakterystyczną jest rzeczą, że w czasie obecnej okupacji niemieckiej powoływanie się na konwencję haską uchodziło za argument najbardziej ważki i że w tej, doświadczalnej niejako, drodze zasady wojennego prawa narodów głęboki oddźwięk w świadomości powszechnej znalazły. Ileż razy zdarzało się nam słyszeć o pogwałceniu „konwencji haskiej“ przez Niemców — i skargi te powtarzał nietylko obszarnik ziemski, potentat finansowy lub przemysłowy, lecz również simplex servus Dei — przeciętny inteligent, drobny kupiec, rzemieślnik czy robotnik. Zdawało się tym pokrzywdzonym, sponiewieranym lub znieważonym, że owa „konwencja“ jest jakowymś asyllum, które przed bezwzględnością najeźdźcy obronić zdoła. Najeźdźca zaś, aczkolwiek w teorii uwielbiający legalizm, liczył się z konwencją o tyle, o ile się to ze swoiście rozumianym interesem własnym zgadzało. W razie wątpliwości miał zawsze argument o rozciągłości przepisów międzynarodowych, o ich „oburzającym pogwałceniu“ przez państwa koalicji, o nieodzownym z tego względu odwecie... A wreszcie, konieczność wojenna była instancją najwyższą. Nie brakowało również odpowiedzi cynicznych: pewien wielkorządca okupacyjny powołał się na konwencję odparł argumentem: „die Haager Konvention können Sie mit ihren Cylinderhüten im Vorzimmer hängen lassen“.

Konwencja haska zawiera normy niedokładne, pełne niedomowień; ustala raczej zwyczaje, które doświadczenie wojen ubiegłych wytworzyło, nie tworzy wskaźników samoistnych. „Le régime de la défaite“, jakim jest okupacja, przypuszcza układ spotęgowanej subordynacji, która nie jest dobrowolnym poddaniem się pod regulację ogólną w interesie dobra powszechnego, lecz bezwzględny nakazem władczym, wyłącznie interes najeźdźcy na celu mającym. Nadomiar, konwencja haska nie mogła przewidzieć nieznanych dotychczas ukształtowań, wywołanych przez swoisty przebieg, charakter i trwanie wielkiej wojny społecznej. Wyobraźmy sobie, że układ prawny, przystosowany do gospodarki naturalnej, obowiązuje w okresie wielkiego przemysłu. Oczywiście, normy prawne takiej kategorii pozostać muszą w zupełnie odmien-
nym środowisku społecznym martwą literą. Twórcom przepisów konwencyjnych obce było nadto przypuszczenie, że stan okupacji wojennej trwać może lata całe; już z samej istoty

przepisów wynika, że miały one na myśli okupację krótkotrwałą, przypuszczającą rychłe zawarcie pokoju i powrót do stosunków normalnych. A już z samej istoty regulacji „prawnej“ wynikało, że obcą będzie interwencja czynników politycznych, że okres okupacji wyłączać będzie możliwość wszelkich doświadczeń, wkraczających bądź w dziedzinę prawotwórczości rewolucyjnej, bądź mającej na celu zapewnienie wpływów politycznych, wojskowych i gospodarczych na czas pó zawarciu pokoju.

„Uporządkowania“ okupacyjne uzależniały się przeto od licznych względów, nietylko ściśle wojskowych, lecz również od zamierzeń natury politycznej i gospodarczej, na dalszą przyszłość obliczonych. Skąpe wskaźniki prawne były, kanwą, na której najeżdźca wielobarwne wyszywał wzory. Niekiedy wzory te były, jak tkanina Penelopy: przemysłny twórca dyplomatycznie rwał ją na strzępy i nową rozpoczynał pracę, nie tyle od własnej woli, ile od zmiennej aury wydarzeń wojennych zależny. Nie była to wszakże robota „delikatna“ „koronkowa“ — najpowierzchniwszy nawet obserwator mógł jej niezłożony, prostacki mechanizm zrozumieć.

Linja wytyczna polityki niemieckiej nie była jednolita. W tych nawet momentach, w których zdawać się mogło, że osiągnęła pewien stały punkt krystalizacyjny — załamania jej uderzać musiały bezstronnego widza. Nawet niewątpliwie sformułowane normy, uwydatniające określony kierunek polityczny, podlegały dowolnej wykładni, różnej w stolicy, odmiennej na prowincji, gdzie każdy „Kreischef“ na swój sposób „cywilizacyjne“ dążności i „kulturalne“ dobrodziejstwa rozumiał. Nie mogło być zresztą inaczej, gdy owej robocie „legislacyjnej“ właściwą była zła wiara, polegająca na przypuszczeniu, że z chwilą zmiany warunków, z chwilą możliwości pogodzenia się z Rosją ów cały gmach kunsztowny niby domek z kart może być zdmuchnięty. Tkwiły poza tym w podświadomości zwycięzców żywotne zawsze, a tak pociągające „sny o potęgę“. Marzenie o aneksji, urzędownie wyklęte, uchodziło zawsze za ewentualność, którą dalszy przebieg wydarzeń wojennych być może urzeczywistni. Stąd ciągłe wahania twórczości prawodawczej, stąd przesadna i dziecinna wprost obawa przed stworzeniem jakiegokolwiek bądź precedensu, stąd dylatoryjność, kunktatorstwo, sztucznych tworzenie przeszkód.

Gdy te czynniki połączymy z psychologicznym podłożem stosunków okupacyjnych — ujrzymy niezwykle obraz anarchji prawnej, którą tylko częściowo anormalność układu wojennego wytłumaczyć zdoła. Z jednej strony bezwzględność zwycięzcy, dla którego ostateczny cel wojny zawsze najwyższym jest rozkaznikiem; z drugiej zaś strony — opór, niedowierzanie, sceptycyzm ludności. Brak wiary w pewność ukształtowań okupacyjnych i przypuszczenie możliwości zmian w zależności od niepewnych prądów politycznych; a w przeciwstawieniu — absolutna, żadnej dyskusji nie podlegająca wiara najeżdźcy w swą wyższość kulturalną, mniemanie, że powołane przezeń do życia normy są najdoskonalszym wykwitem regulacji. Stąd burzenie podstaw, do których ludność bezkrytycznie oddawna się przyzwyczaiła, stąd narzucona recepcja norm, z tradycyjnym układem niewspółmiernych. Recepcji tej przeciwstawia się milczący opór ludności, która w myśl zasady „beneficia non obtruduntur“ w każdym zarządzeniu, w każdym nakazie dopatruje się jakiejś myśli ukrytej. Więcej rzeczy świadomi widzą w tym dążenie do zbliżenia rodzimego układu (szczególnie w zakresie urządzeń prywatno-prawnych) z uporządkowaniem w Rzeszy niemieckiej ustalonym — a więc, mniej lub więcej jawną tendencję do przymusowej germanizacji instytucji prawnych. Dodajmy nadomiar, że najeżdźca nie zastał w kraju zajętym społeczeństwa, przyzwyczajonego do współdziałania zarządzeniom władzy wogóle, albowiem władza poprzednia też była obca i wroga; automatyzm posłuszeństwa dla władzy rodzi-mej, którą ludność imperio rationis uznaje, oddawna był nam nieznany. Tej rozbieżności nie mógł zrozumieć okupant, przyzwyczajony u siebie do ślepego posłuszeństwa wobec ustawy, do kultu dla każdego „befehl'u“, do wiary w nieomylną i niezawodną mądrość zwierzchności.

Zrozumiałe za czasów rosyjskich lekceważenie prawa znalazło się w kolizji z żądaniami, do których psychika ludności nie była przyzwyczajona. Z żądaniami temi szła w parze drobiazgowość i pedanterja, zawilość i niejasność, przesadny fiskalizm i zamiłowanie do reglamentacji policyjnej; a co dziwniejsze, z tą drobiazgowością łączył się brak pewności w sformułowaniu nakazów prawnych. Ilekroć zdarzało się, że osoby zainteresowane po prostu zrozumieć nie mogły, jak wobec wydanych rozporządzeń policyjnych zachować się należy! Pamiętnym pozostało w Warszawie zaprowadzenie meldowania spadków na podstawie zwykłego rozkazu policyjnego z d. 6 kwietnia r. 1916. Jaki popłoch wywołało rozporządzenie powyższe—nie wynikające zresztą z pełnomocnictw, przysługujących powiatowej władzy policyjnej—ile niepokoju i kłopotów sprowadziło, a to dzięki nieudolnej i zawilej redakcji! Niezrozumiałym było dla ludności zamiłowanie do wyczerpującej reglamentacji rzeczy drobnych i mało znaczących; tymczasem Niemcy widzieli w takim uporządkowaniu ideał i wzór niedościgniony. Szczególną predylekcję wykazywano np. w przedmiocie opodatkowania psów. I z lubością oraz z dumą „Deutsche Warschauer Zeitung“ w swym numerze pamiątkowym przedrukowała en regard dwa rozporządzenia: jedno z r. 1796, drugie z r. 1915—oba przez ówczesnych prezydentów policji podpisane—a dotyczące tak miłej sercu policyjnemu materji... opodatkowania psów. Dodany do przedruku komentarz, że historia się powtarza, uprawniał okupanta do rozważań filozoficznych, gdy nieszczęsny subditus temporarius rzecz tę jedynie humorystycznie traktować potrafił. Niezawsze wszakże humorystyka była na miejscu, każde bowiem zarządzenie opatrzone było sankcją karną, groźną i poważną; kara do 5 lat więzienia lub do 10000 m. grzywny była zwykłym refraine'm. Złośliwi twierdzą, że Likurg okupacyjny w zapale bojowym zagroził w pewnym rozporządzeniu karą śmierci, o ile ogólne ustawy karne surowszej kary nie stanowią. Ta anegdota najdobitniej może charakteryzuje dążność do bezwzględności, do represji, niewspółmiernej z czynem zabronionym.

Powikłania i sprzeczności uwypukliły się w sposób zupełnie niedwuznaczny po akcie 5 listopada. Z jednej strony teoretyczne traktowanie Polski jako współrządzonego sojusznika—z drugiej zaś praktyczne stosowanie dotychczasowych zabiegów okupacyjnych. W wyniku: teatralogiczny jakiś układ państwowo-prawny, dziwoląg, który słusznie a dowcipnie nazwał Fr. Naumann „der okkupierte Bundesgenosse“.

Z obietnicami politycznymi, z perspektywami stworzyć się mającej samodzielności (o niezawisłości akt 5 listopada nie wspominał) nie kwadrowała wzmożona i intensywna prawotwórczość okupacyjna. Dla oka starano się zachowywać pozory, szanować ową przyszlą „suwerenność“ polską—stad drobiazgowo troskliwość w przedmiotach zewnętrznych—jako to: herby polskie, pieczęcie polskie, terminologia w przedmiocie przynależności państwowej... Były to tylko pozory: bo aczkolwiek dbano o zagwarantowanie najrozmaitszych uzewnętrznień formalnie jeszcze nie istniejącego państwa—w rzeczach praktycznej wagi nie zapomniano o wykładni ścisłej. Język polski ma być, oczywiście, językiem urzędowym; wszelako w samorządzie miejskim—ze względu na dobrze płatne posady urzędników niemieckich—zastrzega się daleko idące prawa dla niemieczyzny. Polacy—w teorji obywatele państwa sprzymierzonego—nadal są wrogami cudzoziemcami, na łaskę i niełaskę sądów wojennych wydanymi. Kultura polska ma być uszanowana—w rzeczywistości zaś wprowadza się szereg urządzeń, żywcem ze wzorów niemieckich skopjowanych. Przepisy o wywłaszczeniach, komasacjach miejskich, prawie wodnym, rejestrze firmowym są po prostu przepisane z właściwych rozporządzeń pruskich lub niemieckich. Świadomy rzeczy prawnik zapytuje: Cui bono? Wszak według powszechnie uznanej zasady prawa narodów, co do której również teoretycy niemieccy najmniejszej nie mają wątpliwości, z chwilą ustania okupacji wszystkie rozporządzenia i nakazy okupanta ipso jure ustają i uważają się za nie obowiązujące w przyszłości; jedynie skutki prawne, które w toku okupacji już powstały, nadal moc swą zachowują. A więc, czyżby okupant—po zawarciu po-

koju — nadal ingerencję swą w samodzielny państwie polskim miał przejawiać? Tylko taka hipoteza wytłumaczyć zdoła dążność do wprowadzania instytucji prawnych, na dalszą przyszłość obliczonych, a łamiących urzędnictwa istniejące. Stąd pesymistyczne przypuszczenia co do dobrej wiary okupanta. Gdy nadmiar z zarządzeniami temi łączy się rabunkowy fiskalizm, dążenie do uzależnienia przyszłego skarbu polskiego od finansowej przewagi niemieckiej, tendencja do skrepowania polityki przemysłowej i rolnej — czyż nie będzie uprawnioną nieufność do każdego zamierzenia, do każdego pseudo-dobrodziejstwa opiekunów niemieckich?

Podstawowa sprzeczność zarządzeń okupacyjnych polega właśnie na tym, że Niemcy, występując w roli „oswobodzicieli-opiekunów“, nie zapomnieli bynajmniej o swym zadaniu właściwym: okupacja w przetłumaczeniu terminologii międzynarodowej na język ustosunkowań rzeczywistych jest typowym despotyzmem, mającym wyłącznie na celu interes zdobywcy i jego dążenie do pomyślnego zakończenia wojny. Ten interes — bez względu na wszelkie niemieckie platonizmy i obietnice — pozostał nadal dominantą całej polityki okupacyjnej. Nikt nie żądał od Niemców nadzwyczajnej szlachetności; każdy rozumiał, że akt 5 listopada polegał na bardzo realnym interesie, uwarunkowanym ówczesną koniunkturą wojenną. W polityce niema sentymentu — a nadzieje na bezinteresowność, na dobrodziejstwa spontaniczne należą do rzędu szkodliwych omamów i złudzeń. Ale nikt też nie przypuszczał, że Niemcy zapomnieć zdołają o tak koniecznej w polityce konsekwencji. A właśnie, cała prawotwórczość okupacyjna ujawniła rażąco brak konsekwencji, przezorności i celowości politycznej.

Formalistyczna prostolinijność niemiecka zamiast wyciągnąć katagoryczne wnioski z pseudo-faktów dokonanych, czy też — jak kto woli — z faktów pseudo-dokonanych uwikłała się w sprzecznościach.

Z jednej strony: zasady bezgłędnej polityki okupacyjnej winny być zachowane, bowiem żaden przepis prawny nie zniósł tych wytycznych, które w rozumieniu niemieckim właściwe są układowi okupacyjnemu. Z drugiej strony — nowe powstają ukształtowania, które z podstawami polityki okupacyjnej się kłócą. Miałoby podstawy te zmienić — władza okupacyjna stosowała je nadal, tworząc rozbieżność zamiarów i czynów, teorii i praktyki.

Jeśli przyjrzymy się dokładnie zasadom t. zw. prawa okupacyjnego w rozumieniu niemieckim — przekonamy się łatwo, że nawet po akcie 5 listopada zasady te, przystosowane *prima facie* do kraju zawojowanego i wrogiego, nie uległy podstawowym przekształceniom wobec zmiany konstelacji politycznej.

Wydany w r. 1902 przez pruski sztab generalny podręcznik p. t. „Kriegsbrauch im Landkriege“ nie tylko nie uznaje zupełnie przepisów konwencji haskiej, lecz otwarcie przyznaje się do zasady, wygłoszonej ongi przez Clausewitza: „wojna jest aktem gwałtu, który w istocie swej nie zna żadnych granic“. Ostrzegając dowódców przed wszelką sentymentalnością i zniechęcającą czułością („Sentimentalität und weichliche Gefühlsschwärmerei“) przeprowadza tezę, że cel wojny uświęca każdy środek. Teroryzowanie ludności, sianie postrachu, rządy żelaznej ręki są środkami, które złamać mogą opór przeciwnika. Bez względu na okupacji wywiera pewien wpływ psychiczny na stronę przeciwną. A te metody wojny, które jak najrychlej do zwycięskiego jej zakończenia prowadzą, aczkolwiek w treści swej barbarzyńskie, uchodzić winny za „humanitarne“ ze względu na ich skuteczność.

Na tej podstawie skonstruowane są normy, porządkujące układ okupacyjny w instrukcjach i regulaminach niemieckich. Wątpić należy, czy wskaźniki te do rzędu norm prawnych w sensie właściwym zaliczone być mogą. Nie są one istotnym ograniczeniem sfery panowania, albowiem zakres władzy okupacyjnej nie wykazuje żadnych hamulców; nie są one uregulowaniem wzajemnych prawomocnictw i obowiązków, albowiem ludność jedynie jako „obiekt“ operacji wojennych się uważa; są one właściwie jednostronną instrukcją dla organów państwa zaborczego, które w myśl wyraźnych wskazówek kierować się winny nie zasadą legalności, lecz

motywami oportunistycznej celowości. Niema przeto ośrodka regulacyjnego, jest jeno umocowanie do działań dowolnych, niekrępowanych żadnym zakazem. Dnia 28 grudnia r. 1899 cesarz niemiecki na podstawie upoważnienia, przysługującego mu z mocy § 3 prawa zaprowadzającego do ustawy postępowania wojskowo-karnej, wydał dekret o nadzwyczajnej wojskowo-prawnej procedurze przeciwko cudzoziemcom w czasie wojny. Dekret ten zachowany został w najgłębszej tajemnicy; ogłoszono go dopiero po wybuchu wojny. Oczywiście, ogłoszenie powyższego dekretu w czasach pokojowych byłoby niesłychanym skandalem, który ujawniłby dowodnie zamiary niemieckie. Dekret znajduje się w rażącej sprzeczności z postanowieniami konwencji haskiej, przez Rzeszę niemiecką ratyfikowanej; sprzeczności tej nie mógłby usprawiedliwić motyw, że strona przeciwna konwencję również gwałci, albowiem wówczas—w r. 1899—nikomu się jeszcze o wojnie światowej nie śniło. Nie jest również względem usprawiedliwianym motyw, iż w chwili wydania dekretu II konwencja haska z r. 1907 ratyfikowaną nie była; wszak od tego czasu postanowienia dekretu odpowiedniej poddane być mogły rewizji. § 18 ust. 1 rozporządzenia upoważnia każdego dowodzącego oficera do postąpienia „według zwyczajów wojennych“ (Kriegsgebrauch) ze schwytanym na gorącym uczynku cudzoziemcem, który popełnił czyn zdradziecki przeciwko wojskom niemieckim lub sprzymierzonym. „Zwyczaj wojenny“ znaczy po prostu kara śmierci. Tymczasem regulamin haski gwarantuje nawet dla szpiegów uporządkowany przewód sądowy (art. 30)! Dowodzącym oficerem może być nawet „der jüngste Leutnant“, jak to plastycznie orzeka podręczny komentarz do owego dekretu, wydany przez radcę sądu wojennego Roterunda w r. 1916 (zob. str. 47 uw. 1). A więc—nawet przewód przed sądem polowym, tak niewiele gwarancji prawnych zapewniającym, w pewnej kategorii wypadków staje się zbyt czyny, i życie ludzkie zależy od widzimisię pierwszego lepszego podporucznika, który bezapelacyjnie wyroki śmierci wydawać może. § 2 dekretu uzależnia właściwość owego nadzwyczajnego sądownictwa i poddanie cudzoziemców ustawom wyjątkowym bez względu na to, czy ustawy te i specjalne zarządzenia głównodowodzącego zostały ogłoszone: „...unabhängig von der Verkündigung der betreffenden Gesetze und Verordnungen“. Podstawowa zasada wszelkiego uporządkowania prawnego pogwałcona została bezwzględnie i brutalnie. Prawodawca okupacyjny nie troszczy się o zachowanie zasady, „nulla poena sine lege“; więc, nieogłoszone, nieznane ludności rozporządzenie posiada moc bezwzględnie obowiązującą z chwilą, gdy dowodzący generał zredagował je, podpisał i schował do biurka... Jeśli się generałowi podoba, może rozporządzenie karne tworzyć *ex post*; ktoś nie ustąpił z drogi lub nie uklonił się lejtenantowi—aczkolwiek nakaz ustępowania i „grzecznego“ kłaniania się nigdy nie był ogłoszony—może za to powędrować do kozy, albowiem generał dowodzący podobny nakaz dopiero zamierzał wydać (w rzeczywistości rozporządzenia takie ad majorem gloriam kultury niemieckiej były niejednokrotnie wydawane). I co dziwniejsza: poważna nauka niemiecka przeciwko takim pogwałceniom podstawowych zasad prawnych nie zaprotestowała. Przeciwnie: pogwałcenia te uznawała za słuszne, albowiem kwalifikowała je jako celowe. W wydawanym przez znanego uczonego v. Liszta czasopiśmie „Zeitschrift für die gesamte Strafrechtswissenschaft“ (Tom 37, zesz. I. 1915 str. 52 n.) berliński profesor Goldschmidt z godnym lepszej sprawy zapalem stara się stworzyć „naukową konstrukcję“ układu okupacyjnego, uwydatnionego w dekrete z r. 1899. Układ ten odpowiada typowi „państwa „wojskowo-policyjnego“ (Militärpolizeistaat). Funkcje represyjne nie mają potrzeby liczenia się z podstawami prawa karnego—wkraczają bowiem wyłącznie w zakres działalności policyjnej. Kary, które głównodowodzący stanowić może, nie podlegają żadnemu ograniczeniu ani co do rodzaju, ani co do stopniowania. Oczywiście, nie poleca się wprowadzanie kar, nieznanych systematowi prawa niemieckiego; wszakże nie zachodzi zasadnicza przeszkoda, aby pewne czyny zagrożone zostały karą cielesną np. Dopuszczalne jest również stosowanie nieokreślonych sankcji, nie mówiąc już wcale o ustalaniu wstecznego dzia-

łania normy represyjnej. Wskazane jest zachowanie w tajemnicy norm, łagodzących lub zmniejszających karę—a to w tym celu, ażeby „złoczyńców“ zbyt nie ośmielać. Poleca się również machiawelistyczna recepta, polecająca gwoździ zastraszeniu groźbę kar najsurowszych, których w rzeczywistości nie stosuje się wcale. Praktyka okupacyjna udowodniła, że ta „farmakologia“ policyjno-karna nie jest bynajmniej wytworem oderwanej konstrukcji „naukowej”—jeno najdoskonalszym odbiciem życia rzeczywistego. Wprawdzie u nas niezbyt często spotykaliśmy zakazy, zagrożone sankcją nieokreśloną („surowa kara“, „kara według praw stanu wojennego“), natomiast w Belgji soi-disant prawodawca szafował groźbami w rodzaju „seront punis très sévèrement“, „séra réprimé sans pardon“, „seront jugés d'après les lois de la guerre“, „seront punis conformément à la loi martiale“, „...peine d'emprisonnement prolongé“. Zato przekonać się mogliśmy, że groźba kar surowych i maksymalnych jest raczej środkiem zastraszania, niż istotnym zabiegiem represyjnym; przekonaliśmy się, że wyroki sądów niemieckich—wojskowych i cywilnych—posiadają cudowną właściwość: kary na wolności przeistaczają się z niepojętą dla każdego kryminalisty łatwością na surogat pieniężny, szczególnie gdy ten ostatni wpłacany bywa w tak mile dla ucha niemieckiego dźwięczącej walucie złotej. Taka metamorfoza nazywa się eufemistycznie stosowaniem prawa łaski. Oczywiście, że o tym dobrodziejstwie, o którym twórcom nowych prądów kryminalistycznych nie śniło się nigdy, nie wspomina żaden dekret, żadne rozporządzenie i widocznie, w tym celu, ażeby nie ośmielać złoczyńców! Wtajemniczeni twierdzą, że istnieje nawet pewna taksa, przypominająca dawniejsze szacowanie i okup; przypuszczam, że ustawodawca okupacyjny wskrzesiłby nawet głów-szczynę, gdyby go pewne względy nie krępowały.

Zauważono, że układ okupacyjny przypomina nie tyle państwo policyjno-despotyczne, ile okresy wczesnego średniowiecza, z tą atoli różnicą, że nie spotykamy w tym układzie tortur inkwizycyjnych i karzących. Różnica ta tłumaczy się jakoby wyłącznie motywem bezcelowości i zbędności podobnych zabiegów. Niestety, takie optymistyczne mniemanie uznać musimy za bezpodstawne, albowiem Niemcy wyraźnie uznają konieczność takich remedjów terrorystycznych. § 18 ust. 2 cytowanego powyżej dekretu z r. 1899 nadaje dowództwu wojskowemu prawo stosowania środków policyjnych, koniecznych dla bezpieczeństwa wojsk. Wymieniają się: „areszt wrogich cudzoziemców, pozbawienie wolności na czas określony lub nieokreślony, deportacja i t. d.“ Otóż te trzy literki „i t. d.“ mówią bardzo dużo, albowiem, zdaniem komentatorów, upoważniają one do stosowania wszelkich środków, jakie dowodzący uzna za stosowne. Rozporządzenie głównego kwatermistrza z d. 1 maja r. 1915 w tym duchu właśnie ust. 2 § 18 tłumaczy, wyjaśniając, że wymienione hoc loco „zabiegi“ przytoczone są tylko przykładowo, jako środki policyjne. A więc, jak twierdzi powołany przez nas prawnik niemiecki Rotermund (j. wyż. str. 47, 48 uw. 4), może dowodzący opornego cudzoziemca, który nakazanej pracy dobrowolnie wykonać nie chce, zamknąć o chlebie i wodzie w ciemnej piwnicy, dopóki delikwent nie skapituluje. Dozwolone są również inne środki przymusowe, j. np.—cytuję z oryginału: „tagelanges Stehenlassen, ohne Berechtigung sich Nachts hinzulegen...“ Czy to nie tortury? A więc, gdy, badając praktyczne zastosowanie pamiętnego rozporządzenia „o zwalczaniu wstrętu do pracy“, dowiadujemy się, że straceńcy, gwałtem wcieleni do bataljonów robotniczych, są bici, katowani i głodzeni—pocieszmy się, że to nie barbarzyńska samowola, nie jakieś rosyjskie bezprawie, lecz dokładne zachowanie normy, którą Niemcy, jako naród o wysokim poczuciu lojalności, święcie szanują. Prawnicy niemieccy w swej nadwrażliwej sumienności dalej jeszcze idą; zastanawiają się bowiem, czy w ramy owych trzech literek „i t. d.“ nie da się wtłoczyć stosowanie kary śmierci. I w tym punkcie uwydatnić winniśmy znamienne dissensiones dominorum. Gdy rygoryści są za wykładnią rozszerzającą—bardziej ostrożni prawnicy polecają wykładnię ściśniętą. Na obradach zjazdu wojskowych prawników niemieckich w Brukseli padły głosy za dopuszczalnością kary śmierci, natomiast Ro-

termund wypowiada się przeciwko takiemu rygorowi: „Erschiessen ist immer nur Strafe, Todesstrafe, nicht Massnahme!”

Takim jest polityczno-prawne tło zarządzeń okupacyjnych. Oportunizm w połączeniu z bezwzględnością, teroryzm skojarzony z machiawelizmem. I tło to nie zbladło, nie spłowiło, na soczystości swej nie straciło, gdy wspaniałomyślne Niemcy niepodległość wskrzeszonego Królestwa Polskiego obwieściły...

Chwasty i kłakole, które na takim gruncie wyrosły, są jedynym wynikiem kulturalnej pracy niemieckiej. Rzecz oczywista, czas wojny nie może być okresem reform; nikt wszakże od Niemców nie żądał, aby w dziedzinach politycznie obojętnych światoburcze wprowadzali pomysły. Dość było wstrząśnięć, które—jak orkan—najtajniejsze głębiny życia poruszyły; zbyt słabą była odporność psychiczna, aby jeszcze in merito wtórne i podrzędne przemiany przetrawić i w świadomości prawnej utrwalić. Można było żądać od Niemców, ażeby tymczasem istniejące urządzenia prawne w spokoju pozostawili, zmieniając to tylko, co z obwieszczoną niepodległością się kłóci, co o naloce i wpływach rosyjskich przypomina. W zakresie prawno-cywilnym utrzymać należało tradycje, które, tyle lat przed zakusami rosyjskimi strzegąc, szczególnie do czasów ostatnich zachować zdołaliśmy. W zakresie prawno-karnym należało społeczeństwu zupełną i niekrepowaną pozostawić inicjatywę, o ile względy wojenne nie stały na przeszkodzie. W zakresie administracyjnym wskrzesić wypadało dawne tradycje polskie, uzgadniając je z potrzebami współczesnej chwili osobliwej. Ten—politycznie nieszkodliwy, a zawsze obojętny program można było z łatwością—przy odrobinie dobrej woli—urzeczywistnić. Niemcy tej „dobrej woli” nie mieli. Z wrodzoną apodyktycznością, nie licząc się ani z potrzebami, ani z psychologią społeczności naszej, rozpoczęli swoistą pracę reformatorską. Praca ta dotyczyła dziedzin, które nic wspólnego z koniecznościami wojennymi nie miały. Kierunek tych zamierzeń był niejasny i splątany: przebijały w nim pewne chęci zaborcze łącznie z tendencją do ujednostajnienia stosunków prawnych wedle wzorów niemiecko-pruskich, a przytym ta dokuczliwa, natrętna „Besserwisserei”, to obrzydzenie wprost wzbudzające wykazywanie wyższości kulturalnej, nieodmienne podkreślanie nadzwyczajnych dobrodziejstw, które dzięki zarządzeniom niemieckim na kraj spływają. Uważano kraj za rodzaj pola doświadczalnego, na którym próbować można eksperymentów prawodawczych. A eksperymenty doprowadziły—dzięki bezwzględności niemieckiej—do takich ukształtowań, z którymi ani poczucie prawne, ani logika pogodzić się nie mogą.

Okupacja zastała kraj bez sądów; samorzutność społeczna stworzyła własną organizację sądową. Niemcy organizację tę złamali i wprowadzili układ własny. Gdy czytamy wprowadzone przez Niemców, a tak często zmieniane, ordynacje sądowe—oprzeć się nie możemy wrażeniu, że to plód jakiejś patologicznej fantazji: jak gdyby przybysz z przestrzeni czterowymiarowej swe obce kategorie pojęciowe stosował do świata trójwymiarowego. Wprowadzono dychotomię procesową, której żaden normalnie rozumujący prawnik usprawiedliwić nie zdoła. Sądy niższe zachowują dawną procedurę rosyjską, sądy wyższe kierują się ustawami niemieckimi, zarówno w zakresie przewodu cywilnego jak i karnego. Od sądów niższych apelacja idzie, oczywiście, do sądów wyższych—przewód odwoławczy zmienia tedy automatycznie jedność trybu procesowego. Co w jednej instancji jest niedopuszczalne—staje się dozwolone w drugiej. Stąd tworzy się dzikie pomieszanie pojęć—szczególnie, gdy uświadomimy sobie, że kodeksy procesowe zawierają cały szereg przepisów bądź materialnie prawnych, bądź organicznie wiążących się z przepisami kodeksu cywilnego i handlowego. Środki dowodowe łączą się częstokroć z prawem materialnym; zachodzi więc kwestja, czy wprowadzenie procedury niemieckiej nie zniekształca przepisów nieuchylonego przez Niemców prawa materialnego. W pierwszej instancji przegrywam sprawę, albowiem dawna procedura nie zna deferowanej przysięgi, jako środka dowodowego; odwołuję się do instancji wyższej, w której dzięki procedurze niemieckiej z owego

środka dowodowego korzystać mi wolno, i sprawę wygrywam. Przykładów takich możnaby przytoczyć niezliczoną ilość; gdy jeden z prawników warszawskich curiosa te w „Gazecie Sądowej” wydrukować zamierzał—cenzura artykułu zupełnie zresztą przedmiotowego nie puściła. Poplątanie przepisów materialnych i formalnych wywołało niepewność prawną; niemiecki Sąd Najwyższy rozpoczął tedy wyjaśniać owe sprzeczności — i większe jeszcze pomieszanie pojęć spowodował. Nie stajemy w obronie dawnych rosyjskich ustaw procesowych; nie możemy wszakże nie stwierdzić, że do przepisów tych przyzwyczailiśmy się i że, w każdym bądź razie, w okresie wojennym należało co najwyżej wprowadzić pewne zmiany, usunąć naleciałości, wskrzesić niektóre tradycje dawniejsze. Cui bono było wprowadzenie obcej, ciężkiej, formalistycznej, lubującej się w pisaninie procedury niemieckiej? Czyżby to była cywilizacyjna misja okupantów, którzy przez to wprowadzili nieład w myśleniu prawnym, osłabienie poczucia prawa? Pocóż było uzależniać ciągłość i równowagę wymiaru sprawiedliwości od zawsze niepewnych i chwiejnych wyjaśnień jurysprudencyjnych, które z dnia na dzień tłumaczyć musiały, że taki a taki przepis niemiecki nie obowiązuje, albowiem wobec materialnego charakteru normy, zawartej w procedurze rosyjskiej, mocy prawnej nie posiada. W spoistych ogniwach przewodu tworzyć się poczęły luki: a jak sztuczne i naciągane były owe niby-wyjaśnienia Sądu Najwyższego świadczą znane każdemu prawnikowi orzeczenia o prawie pierwszeństwa przy egzekucji na ruchomościach, przy udzielaniu exequatur wyrokom sądów polubownych, przy stosowaniu niemieckich przepisów o sądownictwie niespornym do polskiego prawa rodzinnego. Chaos ten spowodowany został przez oportunizm okupantów: dążono do germanizacji sądownictwa, obsadzano przeto posady przez Niemców. Nowo kreowani sędziowie nie mogli wszak zapoznać się z „barbarzyńską” procedurą rosyjską, tymbardziej, że — jak twierdzono — niemieckiego tłumaczenia ustaw tych nie było. A więc, załatwiono się po gospodarsku: z Polakami wszak nie bardzo się liczyć trzeba — obdarzono nas tedy dobrodziejstwem procedury niemieckiej. Zrobiono to również dla wygody licznych wierzycieli niemieckich, ażeby im „uprzystępnąć” dochodzenie praw. Szło głównie o możliwie rychłe i możliwie bezwzględne ściągnięcie należności niemieckich; i ten motyw był jedną z przesłanek, która kierowała okupantami, gdy niby dla naszego dobra procedurę niemiecką wprowadzali. I gdy w lipcu r. b. krążyć poczęły pogłoski, jako sądownictwo niebawem przejść ma w ręce polskie — prasa niemiecka gwałtowne podniosła larum, widząc w zamierzeniach tych zamach na najświętsze prawa... niemieckiej kieszni. Nawet pisma obozu liberalnego, przyjaźnie dla programu niepodległościowego usposobione, twierdziły, że stronność i antyniemieckie usposobienie sędziów rosyjskich nie obcym będzie sądom polskim — a przeto dochodzenie praw, przysługujących obywatelom Rzeszy, spotka się z przeszkodami, tymbardziej gdy doskonała procedura niemiecka ustąpi miejsca ordynacjom dawniejszym. Z naiwnością, zdradzającą zupełny brak odczucia momentu psychologicznego, zapytywano, czy urzędy w sądownictwie polskim nie mogą być obsadzone przez Niemców — co jaskrawe rzuca światło na typowo-niemieckie zrozumienie istoty niepodległości Polski. Między wierszami jeremjad, które „Berliner Tageblatt” w ostatnich dniach lipca zamieszczał — wyczytać się daje obawa o stronność sędziów polskich — gdy w rozumieniu niemieckim obywatel Rzeszy zawsze powinien mieć rację, a racji tej żaden inny sędzia — prócz niemieckiego — przyznać mu nie może. Jaką rolę w tej kampanji prasowej odgrywały instygacje miejscowych urzędników niemieckich, którym nie tyle o patryjotyzm i kulturę, ile o dobre chodzą posady — trudno powiedzieć. A humorystycznie wprost brzmi obawa, osnuta na wspomnieniach z czasów rosyjskich, kiedy to nieszczęśliwy niemiecki wierzyciel jakoby narażony był na szykany: zapomniano widocznie o tym, jak za owych dobrych czasów, gdy wpływy niemieckie w polityce rosyjskiej przeważały, faworyzowano sprawy niemieckie, jak konsul niemiecki w Warszawie niejednokrotnie Izbę Sądową o przyspieszenie terminów monitował, jak Sąd Handlowy, na rozkaz tegoż konsula, zupełnie bezpodstawnie poważnym firmom miejscowym upad-

łość ogłaszał; zapomniano, jak w pewnej sprawie karnej fabrykanta niemieckiego we Włocławku nawet Senat petersburski niezwykłą łagodność przejawiał..

Ów okres czasu, w którym pozostawaliśmy pod rządem podwójnej procedury, tworzyć będzie w historii prawa jakieś potworne curiosum. Nie można powiedzieć, ażeby Niemcy anomalności takiego układu nie rozumieli; wszakże z naiwnym, po prostu rozbajającym, a tak dla psychiki niemieckiej charakterystycznym cynizmem, twierdzili, że inaczej być nie może, boć wszak to wojna. Prezes niemieckiego Sądu Najwyższego w Warszawie p. Ramdohr w marcu r. b. miał w Berlińskim Towarzystwie Prawniczym odczyt o sądownictwie okupacyjnym; i w odczycie tym, szeroko rozpowiadając o kulturalnych swych zasługach dla dobra Polski, zaznaczył, że wprowadzie nijako było z ową podwójną procedurą, wszakże — ipsissima verba — „nie uwierzcie mi, panowie, jak mało wogóle potrzebna jest procedura dla sądzenia spraw”. Ten argument, napół-humorystyczny, napół-poważny, dobitnie charakteryzuje politykę niemiecką: celowość wyższa jest ponad niezłomne wskaźniki prawne. Czyli—parafrazując znany wykrzyknik—quantilla sapientia regitur occupatio!

Oczywiście, trudno uwierzyć, jak mało potrzebna jest procedura dla spraw sądenia! Uwierzy wszakże ten, kto baczniej się przyjrzał praktyce sądów niemieckich. Przewód sądowy częstokroć farsą tylko bywał. W sprawach karnych — farsą tragiczną: sędzia, nie rozumiejący języka, oddany był na łaskę tłumacza, który nietylko zeznania oskarżonego, biegłych, świadków, lecz i mowy obrończe tłumaczył lub dowolnie skracał; obchodzenie się z oskarżonymi było barbarzyńskie—krzyki, obelgi, wymysły były na porządku dziennym. Gdy pewien adwokat, znajdując się w kancelarji sądowej celem wynotowania z akt przestraszył się, usłyszawszy nieludzkie krzyki z pobliskiej dochodzące go sali—uspokoił go sekretarz: „cóż się pan tak przestraszył—to sędzia X. bada właśnie oskarżonego“. O martyrologji obrońców, lekceważonych i maltretowanych przez sędziów, tomy można byłoby napisać; a zdarzało się często, że po długiej i wymownej obronie, gdy tłumacz orację chciał przełożyć—sędzia zwracał się doń z lekceważącą uwagą, że to zbyteczne, bo sprawa i bez obrony dostatecznie jest wyjaśniona.

W sprawach cywilnych nie lepiej się działo. Sędziowie, wychowani na niemieckim kodeksie cywilnym, częstokroć nie rozumieli odrębności i swoistości naszego prawa materialnego. Zapadały też niejednokrotnie wyroki, sprzeczne z kardynalnemi podstawami prawa obowiązującego. Na porządku dziennym były decyzje, nakazujące badanie świadków w sprawach, w których prawo nasze powołania się na taki środek dowodowy nie dopuszcza. Prawnicy niemieccy, operując tekstami, posiłkowali się niemieckim tłumaczeniem Klibańskiego; otóż tłumacz ów, nie mający pojęcia o języku polskim, przełożył teksty z nieurzędowego tłumaczenia rosyjskiego. Każdy prawnik zrozumie, jakie z tego tytułu powstać mogą nieporozumienia i komplikacje; i otóż częstokroć powstawały kwestje, które po porównaniu tłumaczenia niemieckiego z oryginałem odrazu się wyjaśniały. Nie bacząc na przysłowiową sumiennność i na jakoby głęboką wiedzę niemiecką — zdarzały się w wyrokach sądowych curiosa, które jedynie o nieuctwie świadczą: czytaliśmy wyrok, w którym sędzia uznał, że skomplikowana kolizja międzynarodowo-prywatna w przedmiocie zastosowania prawa szwajcarskiego, rozstrzyga się jak najzwyczajniej, albowiem zarówno w Królestwie, jak i w Szwajcarji, jedno i to samo prawo cywilne („code civil” —zaznaczono w nawiasie) obowiązuje! Takiego głupstwa nie napisałby nawet sędzia rosyjski...

Przewód w sądach cywilnych był wszystkim, tylko nie rzeczywistym przewodem. Sąd nie rozumiał ani stron ani adwokatów; oczywiście, tłumaczenie subtelnych częstokroć wywodów prawnych nie mogło oddać intencji obrony. Zresztą, nie lubiano obszernych wywodów prawnych; znanym był wypadek, gdy sędzia, zniecierpliwiony przemówieniem w Warszawie cywilisty, przerwał brutalnie obronę, a, wobec domagania się o zakończenie wywodów, sakramen-

talnym „Maul halten“ dyskusję zamknął. Nie pomogły skargi do prezesa, bo w czasie wojny wszystko uchodzi...

Jeśli tak wyglądało stosowanie niezmienionego w zasadzie prawa — cóż rzecz wypadnie o skutkach tych materialnych przemian prawnych, które w toku okupacji powstały? Obraz będzie jeszcze smutniejszy... Zmiany proceduralne same przez się, o ile uzgodnione zostają z prawem materialnym, mogą nie skutkować poważnych wstrząszeń. Natomiast przemiany podstawowe, dotyczące podwalin, nie zaś tylko zewnętrznej mechaniki prawa, wywierają skutki szkodliwe, o ile nie są wynikiem organicznego rozwoju, a po prostu narzuconym nakazem, nadmiar na zupełnie obcych przepisach wzorowanym.

I tu uwydatnić należy znamienne lekkomyślność, skądinąd psychologii niemieckiej zupełnie obcą, a przejawiającą się w pośpiesznej, z dotychczasowym układem niezgodnej prawotwórczości. Bezstronność każe zaznaczyć, że taka improwizacja niekiedy dodatnie dawała wyniki, że przytoczymy tu wprowadzenie rosyjskiego kodeksu karnego z r. 1903. Niemcy sami przyznawali się, że to dobrodziejstwo urzeczywistnione zostało niejako wbrew ich woli, albowiem mylnie przypuszczali, że kodeks ów oddawna w Polsce obowiązuje. Taka ignorancja w kraju przysłowiowej sumienności i pedanterji dziwną się wydać może; ową omyłkę tłumaczono, jak zwykle, anormalnemi warunkami czasu wojennego. Złośliwi twierdzą, że kodeks z r. 1903 wprowadzono dlatego, że posiadano jego tłumaczenie niemieckie. Mniejsza zresztą o to, gdy omyłka krajowi na dobre wyszła; wszakże i tu zaznaczyć należy, że przez pewien okres czasu panowała niepewność prawna, albowiem przypuszczano, że wprowadzenie kodeksu z r. 1903 nie uchyliło mocy obowiązującej dawniejszej ustawy o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju. Poza tym wyjątkiem — owa lekkomyślna prawotwórczość, kierowana częstokroć względem na wygodę urzędników, stosujących prawo, a nie licząca się z potrzebami ludności, wywołać mogła jedynie skutki oplakane. Ilekroć razy szturmowano władze niemieckie memorjami i petycjami w przedmiocie utrzymania moratorium, względnie zaś w przedmiocie racjonalnej tegoż likwidacji! Gdy w okupacji austriackiej utrzymano w tym zakresie pewną ciągłość prawną z poprzednim układem — Niemcy o najskromniejszym kompromisie słyszeć nie chcieli i stosowali rodzime wzory niemieckie, do których ciało sądowe było przyzwyczajone.

Wprawdzie konieczność zmusiła Niemców do ustępstw — szczególnie w zakresie odroczeń wypłat bankowych: krytyczny stan banków polskich skrzywił — wbrew woli i intencjom Niemców — linję zamierzeń prawotwórczych. Gorzej rzecz się miała z urządzeniami prawnymi, które, zrosnięte z dotychczasowym układem, nie powinny podlegać — szczególnie w czasie wojny — przemianom gwałtownym. Przemiany takie nie były wywołane żadną koniecznością. Tymczasem przesadne zamiłowanie do upraszczania wywołało w układzie prawa hipotecznego np. zmiany nie tylko niepożądane, lecz wprost katastrofalne. Rozporządzenie z dnia 13 listopada r. 1916, stanowiące, że wydziały hipoteczne urzędują przy sądach okręgowych spowodować może zupełną dezorganizację hipotek powiatowych. Rozporządzenie z dnia 13 maja r. 1916 o prawach pierwszeństwa wierzytelności, mających na celu popieranie gospodarstwa rolnego, wytworzyło zupełnie zbyteczny przywilej dla pewnej kategorii wierzycieli, nie skoordynowany z układem prawa hipotecznego, oraz otwierający pole do nadużyć i wybiegów. Ten niezwykle przywilej uniezależnia się zupełnie od wpisu hipotecznego i tworzy wyłom w zasadzie jawności hipotecznej. Prawodawca spostrzegł w następstwie swą omyłkę; wówczas w drodze rozporządzenia „wykonawczego“ (sic!) z d. 22 lipca r. 1916 dekret pierwotny nie tylko że dopełnił, lecz i co do osnowy zmienił, nadając nadto władzy policyjnej pełnomocnictwa, wkraczające w zakres kompetencji sądów.

Gdyby nawet nie można było odmówić Niemcom, że pewne zarządzenia i reformy wprowadzali w najlepszej intencji, a jedynie przez brak orjentacji i zbyt ni pośpiech rażące popeł-

niali błędy—zaznaczyć należy, że owe zarządzenia reformatorskie były zupełnie zbędne. Zbędne nie tylko ze względu na wyjątkowy charakter czasu wojennego, lecz również z powodu owej nieszczęsnej linii demarkacyjnej, która kraj jednolity na dwie różne połacie podzieliła. Pomiedzy dwiema okupacjami nie było żadnego skoordynowania zamierzeń: owe pod względem politycznym i prawnym zupełnie jednolite obszary tworzą obecnie jakby dwa odrębne kraje o różnym układzie prawnym. Likwidacja tej sztucznie wytworzonej różnorodności niewątpliwie połączona będzie z poważnemi trudnościami i wprost zrozumieć nie można, dlaczego polityka niemiecka dążyła w kierunku zupełnie zbędnego separatyzmu, szczególnie, jeśli koncepcję niezależności państwowej nie będziemy uważać za fortel i wybieg dyplomatyczno-wojenny. Przyznać należy, że Austriacy, szanując w tym względzie postanowienia konwencji haskiej, starali się układ dotychczasowy jak najmniej zmieniać. Niemcy zaś uważali, że robić należy wszystko, co można, i czego nie można. Reformy np. w zakresie prawa handlowego, w jednej tylko okupacji niemieckiej powzięte, a które, z istoty rzeczy, w całym Królestwie winny były być skoordynowane, spowodują w przyszłości nieznośny i dokuczliwy zamęt. Wprowadzili np. Niemcy rejestr firmowy; w okupacji austriackiej inowacja ta pozostała nieznana. Niewątpliwie, instytucja rejestru jest rzeczą pożądaną i konieczną, szczególnie ze względu na dotychczasową anarchję naszych stosunków handlowych. Ale czyż wprowadzenie reformy w jednej tylko części kraju dać może pomyślne wyniki, gdy część pozostała dawnym rządzić się ma prawem? Czyżby Niemcy przypuszczali, że po zakończeniu wojny uda się im ową inowację odrazu i bez żadnego sprzeciwu zaprowadzić również w okupacji austriackiej? Przypuszczenie takie znajduje się wszak w sprzeczności z aktem 5 Listopada. Zdaje się, że Niemcy, nie koordynując swych zamierzeń z jakąś ustaloną teleologją polityczną, uważali za stosowne dobrodziejstwa owych reform urzeczywistniać ze względów bardziej poziomych. Szło im przede wszystkim o zbliżenie prawa polskiego do kodeksu handlowego niemieckiego i stworzenie przeto podwalin przyszłej przymusowej recepcji prawa niemieckiego. Albowiem rozporządzenie o rejestrze firmowym jest po prostu niezmienioną prawie kopją przepisów niemieckich, tak dalece niewolniczą, że prawodawca nie uważał za stosowne przepisów tych uzgodnić z obowiązującym u nas prawem cywilnym. Wynikły z tego kolizje i sprzeczności, które wypadnie chyba w drodze nowelli ad hoc usunąć. Na sprzeczności te zwracano w memorjałach uwagę okupanta; zupełnie przedmiotowe i spokojne wywody prawne pozostały bez odpowiedzi. Szło zresztą okupantowi o stworzenie nowych źródeł dochodu, albowiem opłaty za przymusowy wpis do rejestru są dość poważne. Nie szło mu natychmiast o to, że sponiewierany, ledwie dyszący handel i przemysł polski nowym tym ciężarom sprostać nie będzie w stanie. Przy tej sposobności liczył okupant, że otrzyma dość dokładne wiadomości o przedsiębiorstwach, w których zainteresowani są cudzoziemcy, należący do państw wrogich, i że w tej drodze uzyska dane dla sekwestracji majątków, dotychczas czujnej jego kontroli nie podlegających. Zdawało się Niemcom, że wobec tych—już zupełnie wojennych motywów—liczenie się ze swoistemi właściwościami obowiązującego u nas prawa cywilnego będzie zbędne. A że wprowadzenie rejestru firmowego rodzime uporządkowanie prawne niszczy i niebywałe pomieszanie pojęć powoduje — najlepiej uwydatni przykład. § 20 rozporządzenia o rejestrze firmowym z dnia 1 listopada r. 1916 stanowi, że spadkobierca, prowadzący przedsiębiorstwo spadkowe pod dawną firmą, odpowiada osobiście bez ograniczenia; nieograniczona odpowiedzialność ustaje, gdy spadkobierca zaniechał dalszego prowadzenia przedsiębiorstwa przed upływem 3-ch miesięcy od czasu, w którym się dowiedział o otwarciu spadku. Gdyby po upływie tego czasu przysługiwało mu jeszcze prawo zrzeczenia się spadku, termin przepisany dla zrzeczenia się będzie miarodajny. Stanowiąc ten przepis, okupant zapomniał o zasadniczej różnicy, istniejącej pomiędzy prawem polskim a niemieckim.

W kodeksie cywilnym niemieckim termin prekluzyjny zrzeczenia się wynosi sześć tygodni,

a w niektórych wypadkach sześć miesięcy. Według zaś kodeksu u nas obowiązującego możliwość zrzeczenia się spadku przedawnia się trzydziestoleciem. Gdy zaś rozporządzenie o rejestrze nie uchyla przepisów prawa materialnego polskiego i wyraźnie nie stanowi, że w przedmiocie spadkobrania firm przepisy niemieckie wyjątkowo obowiązują—wynika stąd, że decyzja co do dalszego prowadzenia przedsiębiorstwa spadkowego mogłaby być ważnie powzięta w przeciągu lat 30-tu. Spadkobierca mógłby tedy namyślać się przez trzy dziesięciolecia i dopiero w dwunastym miesiącu dwudziestego dziewiątego roku oświadczyć, że zrzeka się korzystania z firmy, a przeto osobiście za długi spadkodawcy nie odpowiada! Mamy więc typowy absurd prawny. Z drugiej zaś strony, prawo nasze nie zna zwolnienia z bezwarunkowej i nieograniczonej odpowiedzialności w drodze zaniechania prowadzenia przedsiębiorstwa pod dawną firmą i nie wyłącza specjalnego kompleksu majątkowego, jakim jest przedsiębiorstwo handlowe lub przemysłowe, z ogólnej masy spadkowej. Wreszcie, termin trzymiesięczny, ustalony w przedmiocie powzięcia decyzji przez spadkobiercę, kłóci się z podstawową zasadą naszego prawa, które sukcesorowi pozostawia okres 3 miesięcy do spisania inwentarza i 40 dni do namysłu nad przyjęciem lub zrzeczeniem się spadku.

Do takich wyników, które w drodze najbardziej ryzykownej wykładni usunięte być nie mogą, prowadzi lekkomyślność i dorywczość w tworzeniu nowych norm prawnych.

Gorzej się wszakże dzieje, gdy zaimprovizowany prawodawca rządzi się złą wiarą, podstępem i perfidją, gdy stworzone przezeń normy prawne, niby dla dobra Polski promulgowane, w istocie rzeczy wykazują zamiary ukryte, są zręczniami na naiwnych zastawioną pułapką. „*Latet anguis in herba*“ rzecz można o takiej prawotwórczości. Jednym ze skandalicznych przejawów takiej perfidji niemieckiej jest narzucenie nowej waluty, wprowadzenie do obiegu t. zw. marek polskich. Nie dotykam tu gospodarczej szkodliwości tej zgoła zbędnej inowacji, nie analizuję skutków, jakie owa waluta w przyszłości wyrzucić może. Pozostawiam również na uboczu tendencję istotną, która kierowała Niemcami przy stworzeniu Krajowej Kasy Pożyczkowej. Wiadomo powszechnie, że nowo wprowadzona waluta miała na celu stworzenie znaków obiegowych, w których Niemcy mogliby wspaniałomyślnie wypłacać należność za rekwizycje i wywłaszczenia. Nie poruszam również zamętu, spowodowanego przez odrębność waluty w obu okupacjach i kwestji sparaliżowania towarzystw kredytowych w okupacji niemieckiej, które listów zastawnych w walucie dawniejszej wypuszczać nie mogą. Są to rzeczy ogółowi znane. Mało znaną jest natomiast perfidja, tkwiąca w przejściu gwarancji za marki polskie przez Rzeszę Niemiecką. Gwarancja ta *expressis verbis* w rozporządzeniu z d. 9 grudnia r. 1916 zastrzeżona została, poparło je nawet oświadczenie Kanclerza Rzeszy z d. 26 czerwca r. 1917. Gwarancja ta, w istocie rzeczy, zdaje się być jedynym realnym zapewnieniem nowej waluty, o ile wogóle w czasie wojny o realnych zapewnieniach mówić można. Wszakże dokładna analiza prawna owego zobowiązania gwarancyjnego najdowodniej wykazuje, że Niemcy, stanowiąc przepis *quaestionis*, nie brali go poważnie; idąc dalej, rzecz należy, że owa gwarancja w rzeczywistości wcale nie istnieje i jest perfidyjnym wybiegiem, wzorującym się na symulacyjnych operacjach zachwianego w swych interesach kupca, który przed nieuniknionym bankructwem *per fas et nefas* się broni.

Generał gubernator warszawski w rozporządzeniu z d. 9 grudnia r. 1916 (§ 5) oświadcza: Rzesza Niemiecka ręczy za to, że banknoty Krajowej Kasy Pożyczkowej przy ich wycofaniu zapłacone będą markami Rzeszy po cenie nominalnej. Zdawałoby się, że, czyniąc oświadczenie tak poważnej natury, generał gubernator posiada odpowiednie pełnomocnictwo, działa z tytułu właściwego upoważnienia. W istocie zaś rzeczy, generał gubernator, deklarując powyższą gwarancję, czynił to własnowolnie, przekraczając nadaną mu kompetencję. Cesarz niemiecki nie mógł przelać na swego warszawskiego przedstawiciela więcej praw, niż je sam posiada. Cesarz niemiecki nie jest władny do przejmowania—nawet w czasie wojny—jakichkolwiek bądź obciąż-

żeń skarbu niemieckiego, o ile specjalna ustawa lub wyraźne pełnomocnictwo praw takich mu nie nadają. Otóż, gdy przejęcie gwarancji stanowi obciążenie skarbu Rzeszy i tegoż skarbu gwarancję wobec długu państwowego Królestwa Polskiego (który to dług wynika z emisji pieniędzy papierowych)—konieczną jest rzeczą, według Konstytucji Rzeszy, wydanie specjalnej ustawy, przyjętej w zwykłej drodze prawodawczej przez Sejm i Radę Związkową.

Ani najwyższe dowództwo wojskowe, ani delegowana władza generał gubernatora nie mogą tytułu gwarancyjnego jednostronnie stworzyć. Wyraźny przepis § 73 Konstytucji Rzeszy głosi, że gwarancja, obciążająca skarb państwa, moc prawną wówczas tylko posiada, gdy w drodze ustawodawczej przejęta zostaje. Nie wystarczającą w tym względzie byłaby delegacja Rady związkowej z tytułu t. zw. ustawy upoważniającej z d. 4 sierpnia r. 1914. Albowiem ustawa owa nie nadaje Radzie związkowej ani wyraźnej, ani domyślnej delegacji w zakresie zaciągania pożyczek lub przejmowania poręczeń. Zresztą, Sejmowi Rzeszy przysługuje prawo zarządzeń Rady związkowej, wydanych z mocy delegacji—a więc odpowiednia deklaracja Rady nie mogłaby usunąć zasadniczej wątpliwości.

Jeszcze przed emisją marek polskich przedstawiciele społeczeństwa niejednokrotnie zwracali się do władz okupacyjnych z zapytaniami, jak należy rozumieć ową gwarancję, niby zapewnioną przez § 5 dekretu? Władze odpowiadały wymijająco, łudziły obietnicami. Na naradach przedwstępnych obiecywano załatwienie sprawy w drodze wydania odpowiedniego rozporządzenia Rady związkowej, aczkolwiek takie rozporządzenie żadnej niewzruszonej ręką dać nie mogło. Skończyło się zresztą na obietnicach, albowiem, nie wyjaśniając kwestji gwarancji, pewnego pięknego dnia wypuszczono marki polskie. W tekście napisu na banknotach wyraźnie wzmiankowano o gwarancji, opatrując deklarację charakterystyczną sygnaturą „Zarząd generał-gubernatorstwa warszawskiego“. Aequo jure mógłby ów Zarząd w cudzym imieniu i w braku upoważnienia poręczyć za zobowiązania sułtana marokańskiego!

Gdy wszakże niedyskretne interpelacje w tej mierze nie ustawały, gdy nawet Tymczasowa Rada Stanu okupantowi zarzuty czynić poczęła—Kancelarz Rzeszy dnia 26 czerwca r. 1917 oświadczył, iż z mocy § 2 ustępu c prawa budżetowego z dnia 9 czerwca 1916 r. przejmuje w imieniu Rzeszy gwarancję bezwarunkową. Deklaracja niemniej perfidyjna, niż dotychczasowe w tej sprawie kunktatorstwo! Ustawa niemiecka z d. 9 czerwca r. 1916 jest prawem budżetowym, zatwierdzającym dochody i wydatki państwowe na czas od 1 kwietnia r. 1916 do 31 marca r. 1917 i zawierającym we wstępie do właściwego zestawienia obrachunkowego przepisy bądź systematyzujące, bądź dopełniające. Z natury rzeczy przepisy te posiadają moc obowiązującą na ten tylko okres czasu, do którego gospodarka państwowa, ujęta w ścisłe ramy budżetu, stosować się musi. Z tytułu § 2 c kancelarzowi nadane zostały pełne pełnomocnictwa w przedmiocie przejmowania gwarancji. Rzecz jasna, że nadzwyczajne te pełnomocnictwa posiadają moc prawną jedynie w okresie przez budżet ustalonym. A więc, już z formalnej strony podpisany przez kancelarza dokument nie posiada mocy prawnej, albowiem pełnomocnictwa jego w tej mierze w dniu 31 marca r. 1917 wygaśły. Pozatym, w myśl § 2 c dopuszczalne jest przejęcie gwarancji jedynie celem zaspokojenia nieodzownych, przez okoliczności wojenne wywołanych potrzeb. Kancelarz Rzeszy związany jest podwójnie: gwarancja przejęta być może tylko w razie konieczności i tylko celem zaspokojenia pewnej kategorii potrzeb.

Restrykcje te ustalone zostały w celu umożliwienia kontroli parlamentarnej, koniecznej dla udzielenia absolutorjum budżetowego (§ 72 Konstytucji Rzeszy). Powstać tedy może kwestja, czy przejęcie gwarancji w dokumencie z d. 26 czerwca r. 1917 było koniecznością i czy wiąże się ono z zaspokojeniem nieodzownych, przez okoliczności wojenne wywołanych potrzeb? Sejm Rzeszy, nie uznając owych przesłanek, może w każdej chwili obalić moc prawną owego dokumentu gwarancyjnego, tymbardziej, że Sejm, jak to wynika z wykładni drugiego ustępu § 2 c, przysługującego mu prawa kontroli nie zrzekł się bynajmniej.

Znów więc, zamiast niewątpliwego wyjaśnienia sytuacji, mamy do czynienia z wykrętami i uzależnieniem tak poważnej rzeczy, jaką jest pewność waluty, od zawsze zmiennych konstelacji politycznych. Dlaczego nie zapewniono owej gwarancji w drodze ustawy, zatwierdzonej przez Sejm Rzeszy i Radę Związkową? Czyż obawiano się opozycji lub odmowy Sejmu, przez co, oczywiście, emisja marek polskich byłaby uniemożliwiona? Dlaczego przed wydaniem dekretu z d. 9 grudnia r. 1916 nie uzyskano zapewnienia, że ciało prawodawcze zaakceptuje zamierzenia „zarządu generał-gubernatorstwa”? Dlaczego wreszcie zbagatelizowano opinię społeczeństwa, najbardziej chyba w niedwuznacznym rozstrzygnięciu kwestji zainteresowanego? Wszystkie te pytania pozostać muszą bez odpowiedzi i przypuszczać każą, że po stronie niemieckiej była i jest zła wola, że gwarancja w rzeczywistości nie istnieje i że najuroczystsze zapewnienia we właściwej chwili i w drodze odpowiednich dedukcji prawnych obalone być mogą. Pozostaniemy naówczas z bezwartościowymi papierkami—a na żądania rewindykacyjne usłyszymy zwykłą odpowiedź: „point des rêveries”...

...Ale też żadnych złudzeń mieć nie będziemy co do wartości zarządzeń i przyrzeczeń niemieckich. Przykłady, które przytoczyliśmy i które najbardziej jaskrawe, rażące próbki lekko-myślności, oportunistu i perfidji niemieckiej uwydatniają, mogłyby być pomnożone, gdybyśmy bardziej subtelne i zawiłe zagadnienia analizie prawnej poddali. Zdaje się, że wystarczy zarysowanie konturów. I jak wobec tego wyglądają obłudne twierdzenia niemieckie, że wszystkie zarządzenia mają na celu „pogłębienie poczucia prawa u ogółu polskiego”? Czyż ma być „pogłębieniem poczucia prawa” stosowanie kruczków i wybiegów, gdy nikle i małoznaczne interesy niemieckie przy przedmiotowym zastosowaniu ustawy mogłyby być na szwank narażone? Czyż „poczuciu prawa” odpowiada charakterystyczna chwiejność i zmienność zarządzeń, która zaufania ludności do powagi normy prawnej wzmocnić chyba nie może? I czyż ludność nie przekonała się, że dzisiejsze prawo jutro martwą staje się literą, że cały szereg zarządzeń, w zbiorze urzędowym ogłoszonych, żywotności żadnej nie wykazał? Pamiętamy wszyscy owo rozporządzenie o meldowaniu majątków, należących do wrogich cudzoziemców, pamiętamy, że nieudolna redakcja tysiączne nasuwała wątpliwości w przedmiocie wartości majątkowych należących do Polaków, znajdujących się w Rosji. Gdy Niemcom niedokładności te wytknięto i gdy redakcję zarządzenia zmienić musieli — oświadczyli naówczas, że rozporządzenie „zostało omyłkowo wydrukowane w nieodpowiednim brzmieniu”. Unieważnili przeto tekst dotychczasowy i wydrukowali dekret „we właściwym brzmieniu”, jak gdyby rzecz dotyczyła zwykłych errat drukarskich.

Taka praca legislacyjna nie może wzbudzać zaufania. Tekst prawa spadł w pojęciu niemieckim do rzędu zawiadomień, które się drukuje w rubryce „drobnych ogłoszeń”. Ze sceptycyzmem wertować należy owe — niestety tak liczne — posyty „Dziennika rozporządzeń dla Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego”, tymbardziej zresztą, gdy dotychczas niewiadomo, jaki tekst dwujęzycznych ustaw posiada moc obowiązującą? Zdawałoby się, że ta kwestja pierwszorzędnej wagi powinna była być niewątpliwie wyjaśniona; tymczasem zaś niewiadomo, jakie znaczenie prawne posiada kontekst polski. A ów kontekst z osnową niemiecką częstokroć w rażącej pozostaje sprzeczności. Jak rozbieżność taką usunąć? Jak z zasadą publikacji prawa pogodzić niezgodność dwu tekstów, które równocześnie obowiązywać mają? Czyżby okupant przypuszczał, że tekst niemiecki wyłączną moc posiada i że tekst polski jest jedynie tłumaczeniem, załączonym pro informatione? Gdyby nawet tak było — to ów „informacyjny” charakter tekstu polskiego uznać musielibyśmy za zgoła niewystarczający. Urzędowa polszczyzna w „Dzienniku rozporządzeń” jest bowiem czymś skandalicznym i niesłychanym: nietylko że nie zawsze osnowę tekstu niemieckiego wiernie oddaje, lecz częstokroć myśl przewodnią zniekształca i przeinacza. Nie mówię już o stylu, składni i wyrazownictwie, które nietylko że wywołują uwagi ironiczne, lecz dopatrywać się każą intencji ukrytych w swym umyślnym znie-

kształcaniu języka naszego. Słusznie bowiem przypuszczać można, że Niemcom idzie o poniżenie mowy polskiej, o zdegradowanie jej do jakiejś „vernacula lingua”, gwary czy dialektu niewolników. Stąd uprawnione oburzenie, tym bardziej uprawnione, że niejednokrotnie czyniono propozycje w przedmiocie kontroli i korekty tłumaczeń, Niemcy zaś z niezrozumiałą podejrliwością zaofiarowania takie odrzucali. Znowu w rzeczy wtórnego znaczenia nie odczuli Niemcy momentu psychologicznego, potwierdzając znane wyrzeczenie Normana Angell’a o „this absolute incapacity of the Prussian to put himself in the other man’s shoes”. Zresztą, w stosunku do polszczyzny urzędowej Niemcy niczego się nie nauczyli i o niczym nie zapomnieli. Gdy dawniej w Prusiech dziennik praw i urzędowe organa prowincjonalne drukowane były z kontekstem polskim—owa polszczyzna urzędowa, szczególnie od roku 1848, staje się jakimś nieznośnym żargonem, częstokroć splotem wyrazów bez szyku i sensu. Już wówczas dążono do tego, aby ludność polską pozbawić możliwości zapoznania się z prawem obowiązującym i aby przez długoletnie szerzenie skażonej polszczyzny przyczynić się do upodlenia i skażenia języka. Mamy przed sobą wydaną w Poznaniu w r. 1858 pracę Władysława Bentkowskiego, posła na sejm pruski, p. t. „Sprawa polszczyzny w urzędowych ogłoszeniach W. Księstwa Poznańskiego pod sąd filologów oddana”. Gdybyśmy zmienili datę, miejsce wydania i przykłady polszczyzny urzędowej—śmiałoby można było wszystkie wywody tej, zapomnianej dziś, broszury do współczesnej okupacji zastosować. Główną osnowę pracy stanowi interpelacja, wniesiona przez Bentkowskiego w r. 1857 w sejmie pruskim. (Stenogr. Berichte 31 Sitzung am 12 März 1857 str. 462). To, co Bentkowski wówczas o polszczyźnie urzędowej powiedział, w całej rozciągłości obecnie się powtarza:

„Kto po niemiecku nie rozumie, ten też rzadko kiedy z tej polszczyzny mądrym będzie. W najlepszym razie jest to gmatwanina niesłychanych składni, barbaryzmów, świeżo wynalezionych wyrazów, słowem całkiem nowo utworzony język; zdarzają się zaś i próżne wszelakiego sensu zestawienia wyrazów, istne niedorzeczności śmiechu tylko warte. Spotkałem się też i z miejscami, które w tekście polskim coś wprost przeciwnego tekstowi niemieckiemu wyrażały albo przynajmniej wyrażać się zdawały” (str. 7).

W rozwinięciu tej interpelacji złożył następnie Bentkowski na ręce ministra spraw wewnętrznych obszerny memoriał, zawierający sumienne zestawienie przykładów błędnej i niezrozumiałej polszczyzny w urzędowych ogłoszeniach W. Ks. Poznańskiego. Same przykłady, odpowiednio uporządkowane i usystematyzowane, zajmują 90 stron ścisłego druku!

Oczywiście, wszystkie te zabiegi do niczego nie doprowadziły — prusacy bowiem kwestję tłumaczeń w następstwie w ten sposób zdecydowali, że teksty praw w jednym tylko języku drukowali. Niewątpliwie, wobec wypróbowanych i tradycyjnych metod polityki niemieckiej oczekiwać należało, że i nas ten sam los w niezależnej (na papierze) Polsce spotka. Nie zrozumielibyśmy oczywiście, że takie uproszczenie kwestji jest dobrodziejstwem kultury niemieckiej.

Otóż—jak się rzekło—niemiecka polityka językowa wykazuje podziwu godną ciągłość. Moglibyśmy, idąc w ślady Bentkowskiego, cały szereg dziwolągów i nonsensów przytoczyć, moglibyśmy cały szereg przykładów zagmatwania sensu, niedokładności w tłumaczeniu i barbarzyńskiej składni uwydatnić. Zajęłoby to, oczywiście, zbyt wiele miejsca — ograniczymy się tylko do kilku przykładów. Zaznaczamy przedewszystkiem, że Niemcom udają się niekiedy nowotwory językowe, które w następstwie powszechną wywołują wesołość: w tłumaczeniu ustawy o samorządzie dla m. st. Warszawy użyto np. terminu „medycyneryzy”, co znaczyć ma „lekarze” (przypomina to przytoczony przez Bentkowskiego przykład „roczniotarg” jako odpowiednik wyrazu „jarmark”). Rozporządzenie z d. 25 października 1916 (Dz. Rozp. Nr. 53 poz. 186) o kwestach publicznych (Verordnung betreff. öffentliche Sammlungen) przetłumaczono

w intytulacji jako „Rozporządzenie dotyczące zebrań publicznych” (pomieszano terminy „Sammlung” i „Versammlung”). Wypadło tedy, że karze podlega ten „który z czyjegoś polecenia ogłasza odezwy do publicznych zebrań” (§ 3). Nie rozumiejący tekstu niemieckiego słusznie mógł przypuszczać, że chodzi tu o zgromadzenia publiczne, a już nie nie rozumiał, gdy w § 3 ust. 2 czytał o „konfiskacie zebranych bez zezwolenia władzy pieniędzy albo innych przedmiotów”. Dopiero w Nr 58 Dz. Rozp. poz. 234 skandaliczne tłumaczenie dekretu poprawiono, nie wzmiankując zupełnie o popełnionym błędzie. W rozporządzeniu z d. 9 grudnia 1916 o utworzeniu Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej ustęp § 16-go, głoszący o terminie likwidacji kasy „...spätestens 2 Jahre nach der förmlichen Errichtung der Königreichs Polen” zdradził w tłumaczeniu istotne zamiary niemieckie. Przekład bowiem tego ustępu brzmi j. n.

„...najpóźniej po upływie 2 lat od chwili utworzenia
formalnego Królestwa Polskiego”

— zamiast „od chwili formalnego utworzenia K. P.”

Dzięki temu dowiedzieliśmy się już urzędownie, że tylko formalnie będziemy państwem.

Jako typowy przykład przekręcenia tekstu przytoczyć możemy tłumaczenie dekretu z d. 26 maja r. 1917 o gwarancji za przesyłki pocztowe (Dz. Rozp. Nr 77 poz. 321). Tekst niemiecki (§ 2) mówi, że znajdują zastosowanie przepisy austrijacko-niemieckiej konwencji o wzajemnym obiegu pocztowym (Bestimmungen des Postabkommens über den Wechselverkehr); w tłumaczeniu zaś czytamy o postanowieniach umowy pocztowej o przesyłce weksli!!

Były również wypadki, gdy w tłumaczeniu popełniano błędy z umysłem, perfidyjnie, w celu wprowadzenia zamętu i osłabienia odporności w społeczeństwie. Znanym jest ów słynny § 29 ordynacji sądowej w przedmiocie języka. Tekst niemiecki głosi, że miarodajnym będzie ten język, którym władza komplet sądzący. W tłumaczeniu natomiast powiedziano, że sprawy mają być rozpatrywane w tym języku, którym władają wszystkie osoby, biorące udział w rozprawach sądowych, (a więc strony, obrońcy, biegli, świadkowie— zob. rozporządzenie z dnia 8 września r. 1915 Dz. Rozp. Nr 1 str. 3). Zdaje się, że ten umyślny lapsus popełniono w tym celu, ażeby przekonać oporną adwokaturę warszawską do wzięcia udziału w sądownictwie okupacyjnym. Dopiero w Nr 12 Dz. Rozp. z d. 1 grudnia r. 1915, gdy kwestja udziału adwokatury wyjaśniła się ostatecznie, ów „błąd” poprawiono.

Zdaje się, że przykłady te wystarczą. I w tych drobiazgach ujawniła się bezwzględność polityki okupacyjnej. Że bezwzględność ta nie leży w dobrze pojętym interesie niemieckim, wykazały już dotychczasowe doświadczenia; społeczeństwo polskie doskonale zrozumiało właściwe znaczenie przyrzeczeń i zabiegów niemieckich. Bliska przyszłość udowodni nieodpornie, że prawotwórczość okupacyjna była gmachem na lotnym piasku budowanym. Zarzucali nam Niemcy, że lubujemy się w „teatralnych rekwizytach spiskowego romantyzmu”. Replicando zapytajmy, czy polityka niemiecka od czasu okupacji na jedną chociażby chwilę wyrzekła się teatralnej dekoracyjności? Gdy kiedyś karta dziejów się odwróci, gdy na theatrum okupacyjnym smutno-krwawe zakończy się przedstawienie i kurtyna spadnie—wówczas w niepodległej i wyzwolonej Polsce, westchnąwszy głęboko, powiemy „acta est fabula”. Nie powiemy wszakże, o Niemcach pamiętając, „plaudite cives”.....

Warszawa, wrzesień 1917 r.